

# DZISIAJ i JUTRO

## KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok XI

Warszawa, 14 sierpnia 1955 r.



CI 9013

Nr 32 5061



Anna Söll — młoda katoliczka z Senegalu, wiceprzewodząca Rady Młodzieży Senegalskiej w rozmowie z Adą Borkowską — z delegacją katolików polskich na Festiwal

ZYGMUNT LICHNIAK

# MELDUNKI RADOSNE (2)

tem nr 30210. Trochę to dziwne, że dowiaduję się o tym dopiero teraz, ale przyjemniej dowiedzieć się późno niż wcale. W podwójnej roli powinienem więc widzieć dwa razy tyle, no i pisać dwa razy tyle. Ale doba ma tylko 24 godziny. I właśnie kończy się pierwsza godzina trzeciej doby festiwalu. Więc...

2 sierpnia, rano.

**W**CZORAJSZY dzień stał pod znakiem otwarcia II MISM. Pod znakiem sportu! Nowy, wspaniały temat dla sprawozdawcy! Zwłaszcza jeśli sprawozdawca ma bżika na punkcie piłki nożnej i lekkoatletyki. A niżej podpisany — ma. I to nieustępliwego. Od czasu gdy jeszcze grywał w szmaciankę reprezentując barwy przedwojennego Targówka w meczu ze Szmulowizną — aż po dzień dzisiejszy i chyba po wszystkie dni przyszłe.

Zastanawiałem się, co w sporcie fascynuje tysiące i miliony nie tylko zawodników, ale zwykłych widzów czy zagorzałych kibiców.

Chyba radość życia przetłumaczona na wysiłek mięśni. Z wielokrotnie sensu istnienia intensywnością przeżywania ruchu. Ruchu i niespodzianki. Niespodzianki i napięcia. Napięcia w badaniu tysięcy niewiadomych, ukrytych w ciągłe rozwijających się możliwościach ludzkich. Wyścig z czasem, wyścig ze zmęczeniem, z własnym lękiem i własną słabością. Tworzenie własnej granicy nowych osiągnięć. A przede wszystkim — przekraczanie tej granicy. Dlatego porównanie jest sport tam, gdzie napięcie walki wydobycia i ujawnienia nowych rezerwy sił, ba, tworzy nowe rezerwy sił. Dlatego nudne są zawody, gdzie tej walki brak, gdzie wygasa ona w niesprzyjających warunkach fizycznych lub psychicznych.

Wybaczcie te drobinki niezbyt pogiębionej filozofii sportu. Obiecywałem sobie mówić o faktach.

Ołóż faktem jest, że wielu z nas

dla Cieślaka. A więc blisko tuzin „gał”. Wynik znacie. Jeszcze jedna kłeska aprioryczna! Wygrały z trudem repy Warszawy — 3:2. Dwukrotnie prowadzenie obejmowali Chińczycy, najpierw 1:0, potem 2:1. W końcu zmogła ich rutyna przeciwników, ciemności i zmęczenie. Zeszli oficjalnie pokonani. Zeszli jako moralni zwycięzcy. Przynajmniej dla mnie nie ulegało to wątpliwości. W pierwszej połowie ich gra była o wiele bardziej błyskotliwa, elegancka, chciałyby się powiedzieć: o wiele bardziej dowcipna, a już na pewno bardziej inteligentna od rozlazłej kopaniny przedstawicieli Warszawy, nawet tych ściągniętych ze Śląska. Bramkarz Pekinu imponował błyskawicznym refleksem. Skrzydła — szybkością. Cały atak — zgraniem. Powiedziałbym — nadmiernym zgraniem. Za długo cackali się z piłką pod bramką. Kto wie, czy gdyby byli bardziej zdecydowani w strzałach, pierwsza połowa nie zakończyłaby się wynikiem 3:1.

W drugiej połowie osłabli. Polacy cisnęli. Ale cały czas — może z wyjątkiem ostatniego kwadransu gry w ciemnościach, rozwielnanych tylko poetycznym zmierzem igrysk — walka była równorzędna.

Inaczej o tym opowiadali wczoraj sprawozdawcy radiowi. Od wczoraj wzrosł mój krytycyzm wobec tego typu sprawozdań. Było bowiem we wczorajszym sprawozdaniu ociupinkę za dużo megalomanii. Biedni radiostuchacze musicie li wierzyć, że utrzymujący się przez dłuższy czas remis 2:2, to dla Pekinu „wynik zaszczytny” (!?), że dla reprezentacji Pekinu „technika nie jest zupełnie obca” (tylko tyle?). Łaskawie przyznawano, że Chińczycy „grają sprytnie — nie można powiedzieć”. I tym podobne dyrdymaly. Co u diabła? — dziwiłem się przy radiodzienniku — kto z kim gra? Kocysis, Puskas z reprezentacją Targówka? Zawróciło się w głowie naszym sprawozdawcom po zwycięstwie nad Budapesz-

druk tych wspominków redaktorom „Przeglądu Sportowego”. Boję się, że na Mokotowskiej z IV piętra zawody sportowe mogą się wydać czymś marginesowym. A przecież tak nie jest! Jednak spróbuj.

3 sierpnia, rano.

Kilka odnotowanych „na kolanie” wrażeń związanych z emocjami pierwszego popołudnia igrysk.

Spośród tych emocji wybijały się trzy główne atrakcje, które dominowały nad całością. A więc przede wszystkim — bieg Strickland. Warto było przyjeżdżać z dalekiej Australii, aby zachwycić tak wspaniałym osiągnięciem kilkadziesiąt tysięcy widzów. Już przedbieg na 80 metrów przez płotki był porównywalny. Widać było w tym biegu radośną pewność zwycięstwa, mistrzowską płynność brania przeszkody, raketową niemal dynamikę finiszu. Tylko Jermolenko mogła podjąć walkę. I podjęła ją w finałowym biegu. Ale tym razem musiała zadowolić się drugim miejscem. A zwycięską Strickland musiano wyprowadzić niedostępnym dla publiczności wyjściem, bo tłum nie puszczal.

Innego typu emocji dostarczyło pchnięcie kulą. Rozczarowani skokami w dal, patrzyliśmy z nagłym zainteresowaniem na miotaczą. Już w pierwszej kolejce rzutów eliminacyjnych Grigalka osiągnął odległość 17,05 m. Wszyscy czekali na Skoble. Rzucił trochę nonszalancko, ale mocno, jednak Grigalka nie dozedeł. I cała emocja skupiała się w pytaniu: dojdzie czy nie dojdzie? Każdy rzut zbliżał go do zawodnika radzieckiego, ale zabrakło już sił. Grigalka stanął na najwyższym schodku podium dla zwycięzców. A dzięki ich zaciętemu pojedynkowi młody i sympatyczny Węgier Mihályfi, rozgrzany atmosferą walki pobił swój własny i ustalił nowy rekord węgierski pchnięciem kuli 16,34 m. Cieszył się z tego bardzo, a mi razem z nim. W myśli przekreśliłem na wersję sportową znane przysłowie: gdzie dwóch ładnie walczy tam i trzeci korzysta.

No i wreszcie emocja trzecia, dominanta dnia: bieg na 10.000 m z Zatopkiem, Anufriewem, Basalajewem i naszym Ożogiem na czele. Oczywiście wszyscy czekali na zwycięstwo Zatopka. I — oczywiście — niejedyn z nas w duchu zastanawiał się, czy jednak to takie pewne. Boć przekroczenie Rubikonu trzydziestki, to w skali wielkiego sportowca poważna historia. Do pięciu kilometrów sprawa była nieważna. Anufriew i Basalajew atakowali Emila. Odpowiadał atakami. Męczył zrywami. I twardo, boleśnie niemal odpychał za siebie przesterżen metr za metrem, kilometr za kilometrem. Wygrał bezapelacyjnie. Odgrodził od siebie pozostałych zawodników niemal stumetrową dumy, uporu, wielkiego hartu i woli, powstrzymującej młodocę, która jakby nie chciała tu przemijać. Za Zatopkiem nie wygasta walka. Poderwał się do niej pięknie i ambitnie biegnący Ożóg. Zatakował z wodników radzieckich. Basalajew pięknym finiszem odparł ten atak, ale nad Anufriewem, dzielnym i utalentowanym Anufriewem, odniósł Ożóg zwycięstwo. I jednocześnie nad rekordem Polski (przez siebie zresztą ustalonym). Wreszcie zwycięstwo nad zakłęgłą dawniej granicą 30 minut. Jego czas 29 minut i 51,8 sekund to nowy dowód, że człowiek może przeskoczyć samego siebie. I znowu dowód na to, że gdzie dwóch ładnie walczy tam i trzeci korzysta.

4 sierpnia, rano.

**W**PEŁNYM żywego zaferowania rozgardaszu dni festiwalowych napadła mnie pozornie malarska refleksja. Festiwal potęguje w naszych oczach barwność świata. Nie tylko flagi, nie tylko ubiory, nie tylko twarze egzotycznych delegatów uintensywniają w nas przeżycie koloru. To już nie jest

sprawa tęczy. Sprawa tej czy innej wrażliwości malarskiej. To coś znacznie więcej. Jest to sprawa serca, sprawa wrażliwości ideowej, sprawa politycznego wyczerpania na pozornie drobne fakty życia festiwalowego. Kolorowy korowód festiwalowych dni narzuca myśl o tym, że współzycie, koegzystencja, zbliżenie między narodami poszerza skalę barw ludzkiego istnienia. Mówmy skrótami, by nie uronić tej refleksji w pośpiechu i natłoku wrażeń. To nie festiwal jest barwny. To świat jest barwny. Dla wielu tysięcy, dziesiątków tysięcy, setek tysięcy ludzi objawia się w kolorystyce festiwalu bogactwo wielorakości świata. O ile żywsze, bujniejsze w barwach, ciekawsze w swej tęczywości są ulice festiwalowej Warszawy, o tyle bogatszy, pełniejszy, wyższy jest świat, który zdobywa świadomość swej wielobarwności, zdobywa coś, co w późniejszym języku reporterskiego uogólnienia chciałbym nazwać samowiedzą o wielorakości, syntetyzowaną i uintensywnianą poczuciem wspólnoty, dążeniem do jedności. Tę samowiedzę pogłębia spotkanie warszawskie. Na pogłębieniu tej samowiedzy polega istotny sens festiwalowych dni.

Zrezygnujmy z metaforyki malarskiej. Powiedzmy wprost: w Warszawie młodość świata ma jeszcze jedną, najwspanialszą z dotychczasowych, okazję do pokochania barwności świata, do zarznięcia się tworzącą tęsknotą ku barwnemu, zaskakującemu tysiącem niespodzianek, współistnieniu przez wzajemne zainteresowanie, wzajemne zrozumienie, wzajemne poznanie. Tak przeżywany festiwal jest w swej barwności jeszcze jednym, przemawiającym do tysięcy i milionów, argumentem za słusznością postulatów koegzystencji, jest realizowaniem politycznej tezy o koegzystencji.

Niechże jednak broni nas zwykły zdrowy rozsądek ludzki, niechże nas broni mądrość nawet w szczegółach sprawdzanego realizmu politycznego, niechże wreszcie broni nas ludzkie, trzeźwe i konsekwentne dążenie do prawdy — przed utawionym, zbyt prostym i zbyt łatwym wiozieniem barwnej panoramy ideowej festiwalu.

W tej panoramie grają nie tylko wesole kolorki. Tak jak spoza barwnych transparentów czy flag wyzierają jeszcze gdzieś gdzieś zoyt dyskretnie maskowane ruiny, podobnie i w kalejdoskopie wrażeń festiwalowych grają gorzkie wspomnienia, uczestniczy myśl o trudnościach współczesnego świata, pobrzmią nuta napiętej, trudnej, skomplikowanej walki o pokój. Chociaż nad całością festiwalu unosi się zwycięski duch Genewy, nie powinno brakować i nie brakuje w całościowym zestroju warszawskiego festynu akcentów głębokiego poczucia odpowiedzialności za przyszłość świata, akcentu wyteżonej pracy dla pokoju, akcentu zrozumienia złożoności sytuacji. Pozorna beztraska festiwalowa jest jedną z form troski o zapewnienie pokojowego uśmiechu latom przyszłym i przyszłym pokoleniom.

Gdybyśmy na chwilę zechcieli porócić do metaforyki malarskiej, można by tę nieprostą prawdę festiwalu zlakonizować w przypomnieniu, że w oświeżonej szacie Warszawy, wśród barwnych afiszów, makiet i flag oprócz figlarnych tłumaczów w pięciu językach, pytań takich jak „czy mogę z tobą zaantycypować?” są wielkie reprodukcje „La paix et la guerre” Picassa, czy pomysłowo urealniony afisz Trepkowskiego, protestujący przeciw wojnie gromkim i stanowczym „Nie!” I jedna, i druga prawda festiwalu stanowią całość. Obdwie prawdy trzeba nosić w sobie.

...Takie refleksje snułem patrząc na pozornie nie mówiący epizod, jeden z tysięcy epizodów festiwalowych. Po prostu: młody

(Dokończenie na str. 6 i 7)

31 lipca — rano.

**P**IERWSZY dzień festiwalu! Za kilka godzin uroczyste otwarcie na Stadionie Dziesięciolecia. Dzień jest — na szczęście — pogodny, niebo jak flaga pokoju. Miasto odświętne nie tylko niedziela. Ale i niedzielność tej niedzieli podkreśla ciekawie swój międzynarodowy charakter. Na mszy św. w Kościele Akademickim widziałem kilku skóśnoońskich delegatów. Obok drzwi stała grupka Francuzów. Może to chłopcy z Beauvais, z chóru ks. Le Bazelaire? Wzruszyła mnie postać Murzynki na tle drzwi do kaplicy Błogosławionego Władysława. To nie tylko kolorystyczne wzruszenie...

Po mszy pobiegłem jeszcze do Ośrodka Prasowego. Jakoś tu już spokojniej, sprawniej działa maszyna organizacyjna. Bez trudu otrzymuję przekład polski przemówienia Berniniego na wczorajszej konferencji prasowej.

...No, ale czas wybrać się znowu na miasto. Chcę popatrzeć na kiermasz książek, odwiedzić kilka kwaterek z delegatami, a potem — na Stadion Dziesięciolecia, gdzie spotka się radość i młodość (No, a także ja z pewną delegatką polską...).

**D**OCHODZI północ. Zastanawiam się — złączony wrażeniami dnia — w jakim skrócie, w jakiej lakonicznej formule zamknąć sens wrażeń, które dyktowała barwna uroczystość otwarcia festiwalu warszawskiego.

I zmęczenie, i brak zaufania do własnych możliwości stworzenia poetyckiego opisu nakazują mi zrezygnować z podjęcia ambicji otwierania szczegółów. Nie potrafię oddać bogactwa i uroku tego tanecznego pochodu młodości narodów. Przemaszerał przed nami żywy alfabet świata. Niech poeci przetłumaczają piękno tego pochodu na język mądrych i dobrych wierszy. Sprawozdawca nr 138 chciałby tylko uchwycić w logarytm reporterskiego słowa sens podstawowy radości i siły, która flagami przeszła stu narodów powiewała nad Stadionem Dziesięciolecia.

Jedność wzruszenia, wspólnota nadziei, żywioł przyjaźni — to jedyne w tej chwili (choć na pewno jeszcze niedoskonale) skróty, które przynajmniej w części chwytają istotną prawdę dzisiejszego popołudnia i wieczoru.

Były w czasie uroczystości dzisiejszej — o której dokładnie informowały dzienniki — chwile, kiedy nieważna już stawała się barwność i egzotyka, bogactwo i sprawność organizacyjna samej imprezy, chwile kiedy jedynie waż-

na była właśnie wspólnota wzruszenia, wspólnota nadziei, że świat może być jednością, że jedność ludzi miłujących pokój nie jest tylko mądrym sloganem, lecz konkretną, żywą prawdą i tęsknotą narodów.

Trudno, trzeba w tym bezpretenjonalnym notatniku użyć tych wielkich słów. Są to jedyne słowa, które nie pomniejszają dziejącej się w festiwalu warszawskim prawdy.

Nie rzucałem tych słów, gdy przed godziną przyszła Zosia z koleżankami i kolegami z naszej delegacji. Dałem im coś do zjedzenia, bułki, wędlinę, zsiadłe mleko, po filiżance „Neski”. Ale pomyślałem sobie i myślę — kończąc dzisiejsze notatki — że słowa wielkie,



W Stowarzyszeniu „Pax” przy ul. Mokotowskiej 43 odbyło się spotkanie młodych katolików belgijskich z dziennikarzami polskiej prasy katolickiej. Na zdjęciu widoczny uczestnik spotkania podczas serdecznej rozmowy.

które dzisiaj na czyn braterskiej manifestacji tłumaczył barwny pochód młodości narodów są tak samo potrzebne, tak samo konieczne jak chleb i orzeźwiający napój...

Noc z 1 sierpnia na 2 sierpnia.

**W**ŁĄCZIWIE dzisiaj już nie powinienem pisać. Trochę za dużo wpełchnąłem do worka jednego dnia. Nie uniosę. Z przyjemnością, chociaż i trochę z satyrycznym uśmiechem chcę odnotować tylko jeden fakt z tzw. życia osobistego. Okazało się, że jestem nie tylko sprawozdawcą nr 138, ale i delega-

wybrało się na wczorajszą inauguracyjną mecz piłki nożnej między reprezentacjami Pekinu i Warszawy — trochę tylko z obowiązku. Nie spodziewaliśmy się napięcia walki, wielkich niespodzianek, równorzędnego przekraczania granic własnych możliwości. O piłce nożnej Chińczyków nie słyszeliśmy zbyt wiele, docierały do nas wieści (niesprawdzone) raczej nieszczerze. Co pochoptejś przebłąkaliwi o dwucyfrowym wyniku i to „do kola”. Brychczemu przydzielono a priori pięć bramek, Baszkiewiczowi z dwie, no i za cztery

tem! Ale po co zawracać w głowie piłkarzom ciągle u nas za słabo grającym? Po co zawracać w głowie radiostuchaczom?

Zepsuło mi to trochę smak imprezy, ale cóż? Nie odpowiadamy za winy nie przez nas popełnione.

Muszę jednak przerwać swoje wspominki. Trzeba jeszcze pojechać do Ośrodka Prasowego po bilety na popołudniowe zawody lekkoatletyczne.

Ej, boję się, że jak tak dalej pójdzie, będę musiał zamiast redaktorem „Dzisiaj i Jutro” proponować



# O NIEUDANEJ AUDYCJI I WAŻNYM PROBLEMIE SPOŁECZNYM

W PIĄTEK 29 LIPCA radio otworzyłem przypadkowo. Jak zwykle. Myślę, że nie jestem tu wyjątkiem, że większość ludzi nie szuka określonych audycji w programach, ale słucha radia wtedy, gdy nie ma akurat nic lepszego do roboty. Nie znaczy to jednak bynajmniej, że wpływ audycji jest wskutek tego mniejszy. Chyba nawet przeciwnie. Właśnie to, że radio na ogół oddziałuje w sposób przypadkowy, że mało kto traktuje programy radiowe jako źródło systematycznego zdobywania wiadomości, nadaje zdaniem słyszanym przez głośnik specjalny sens — stają się one niemal bez udziału słuchacza elementem jego własnej wiedzy o świecie, kształtują jego przekonania, zapadają gdzieś głęboko w psychikę. W rezultacie trudno w końcu rozróżnić, co z posiadanych pojęć, sądów i ocen moralnych jest wynikiem samodzielnego przemysłu, a co zostało przyjęte niejako automatycznie, ale stało się już zupełnie własne i w jakiejś chwili zdecydowanie o takim a nie innym postępowaniu odbiorcy. Stąd właśnie płynnie konieczność specjalnej troskliwości w doborze programów radiowych, stąd zwiększona w porównaniu do wszystkich innych rodzajów publicystyki odpowiedzialność autorów audycji.

We wspomnianej audycji piątkowej uderzył mnie przede wszystkim nazwiska biorących w niej udział. Kozłowski, Scibor-Rylski, a więc ludzie powszechnie znani, Frelichowa, która od dwu lat spotyka się na terenie Warszawy wszędzie tam, gdzie decydują się sprawy oświaty młodzieży szkół licealnych, wreszcie Mirosława Parzyńska slyna od paru miesięcy ze swych artykułów w „Życiu Warszawy” domagających się upowszechnienia środków antykoncepcyjnych. Pozostałych dwóch czy trzech nazwisk nie zapamiętałem, ale reprezentowały one także ważne dla życia spo-

łecznego instytucje — sądy dla nieletnich i medycynę związaną z Instytutem higieny psychicznej. Istotnym audycja zapowiadała się bardzo interesująco.

Przynajmniej na początku, że audycja zawiadła mnie. Była to rozmowa wspomnianych przed chwilą osób na temat zagadnień seksualnych, wieloletniości, świadomości ojcostwa i macierzyństwa, tzw. uświadamiania młodzieży, teorii Ogino-Knausa, środków antykoncepcyjnych, zbyt pochopnych małżeństw i równie pochopnych rozwodów, słowem tego wszystkiego, co stanowi zespół zagadnień związanych ze wzajemnym stosunkiem obu płci. Zagadnienia te są niestety obcy dla młodego pokolenia, przynajmniej w tym zakresie, w jakim się odnosi do życia społecznego i ostatnio weszły dość zdecydowanie na łamy prasy. Może temat zamierzony został zbyt szeroko, może zebrani reprezentowali zbyt różne środowiska, może wreszcie nie wszystkie z poruszanych kwestii zostały dostatecznie dokładnie przemysłane, doś, że audycja zawierała więcej przykładów, sygnałów na temat poszczególnych problemów i luźnych refleksji niż konkretnych wskazań dla młodszych i starszych słuchaczy, do których była zwrócona. Prawda, że pomyślana została jako wolna dyskusja, nieobowiązująca rozmowa. Ale zarówno doboru wykonawców jak waga zagadnienia kazaly spodziewać się, że dokonane zostanie przynajmniej jakieś uporządkowanie pojęć, a tego właśnie zdecydowanie zabrakło. Dlatego nie od rzeczy będzie zająć się nieco bliżej tym zagadnieniem i na pewne rzeczy zwrócić uwagę.

Przed wszystkim więc należy zdecydowanie przyklasnąć samemu faktowi zajęcia się przez publicystykę tymi zagadnieniami. Do niedawna było na tym odcinku prawie zupełnie głucho. Po prostu wydawało się, że problemy tego typu w ogóle nie istnieją. Tymczasem narastały

w życiu społecznym groźne zjawiska lekomyślnego stosunku do macierzyństwa i ojcostwa, coraz większe liczby szesnastoletnich dziewcząt zachodzących w ciążę, masowości poronień ekonomicznych przez kobiety niezamężne lub małżeństwa spodziewające się trzeciego lub czwartego dziecka, a przede wszystkim uświadamianej sobie lub nieświadomianej przez rodziców krzywdy „niepożądanego” dziecka i to zarówno wówczas gdy chodzi o małżeństwa, jak i tak zwane „związki wolne”. I istotnie wszystkie reprezentowane w radiowej rozmowie czynniki życia społecznego powinny się tymi sprawami zainteresować. Jest to rzecz zarówno Wydziału Oświaty, jak i publicystyki i literatury, organizacji młodzieżowej i rodziców, Instytutu higieny psychicznej i sądów dla nieletnich. Ale właśnie dlatego, że zagadnienie jest tak duże i wielostronne, że w jego prawidłowym rozwiązaniu zainteresowani jesteśmy właściwie wszyscy, należy przystępować do tej sprawy z pewnym zasobem jakichś zasadniczych pojęć, przede wszystkim pojęć z zakresu moralności seksualnej, a tego we wspomnianej audycji i całej dotychczasowej publicystyce na ten temat brakło.

Osoby zebrane w piątek w studio radiowym, a także Mirosława Parzyńska w swej dotychczasowej publicystyce w „Życiu Warszawy” występują przede wszystkim mając na względzie dobro nowopoczętego dziecka. Jest to — powiedzmy od razu — punkt widzenia słuszny. Istotnie wszelka lekomyślność w tworzeniu nowego życia zarówno w związkach pozamałżeńskich (tu naturalnie z natury rzeczy szczególnie) jak nawet w małżeństwie, gdy nie ma ono warunków dla zapewnienia dziecku dostatecznych warunków rozwoju, jest niedopuszczalne. Trzeba dokonać ogromnej pracy wychowawczej, by ten aksjomat stał się przekonaniem całego społeczeństwa

a zwłaszcza młodzieży. Zadanie to spada zarówno na rodziców, jak i na szkołę, organizacje młodzieżowe, publicystykę i literaturę. Z tego też punktu widzenia zespół dyskusantów dobrany był właściwie. Istotnie, oni właśnie, czy też raczej reprezentowane przez nich dziedziny życia społecznego powinny tymi sprawami się zająć.

Słuszna jest także druga teza wspomnianej dyskusji, że życie dziecka od pierwszej chwili musi być pod ochroną. Zagadnienie poronień jest u nas poważnym problemem społecznym i dobrze, że opinia publiczna jest coraz bardziej zaniepokojona stanem rzeczy na tym odcinku. Zasadniczo trzeba mieć świadomość, że tak zwana „skrobanka” jest zwyczajnym zabójstwem i tak właśnie powinna być traktowana. Kwestię sytuacji wyjątkowych, wskazań lekarskich i t. p. można tutaj pominąć. Pewne jest natomiast, że rozszerza się ostatnio, niestety, coraz bardziej praktyka pozbywania się płodu i słusznie zabrani przy mikrofonie byli tym faktem poruszeni. Ostatecznie nikt zdrowo myślący nie może patrzeć obojętnie na dokonywane zabójstwo, a to przecież jest w gruncie rzeczy istota tzw. poronień.

Wreszcie uczestnicy tej radiowej rozmowy doszli do wniosku, że w takim razie należy zrobić wszystko, by nie dopuścić do lekomyślnego czy nawet tylko nieświadomego porzucenia dziecka, że szkoła, rodzice, instytuty lekarskie, sądownictwo, a także publicystyka i literatura powinny współdziałać w tym, by przychodzili na świat tylko dzieci upragnione, które rodzice odczuwają serdeczną opieką, a społeczeństwo da im wszystko, co do ich rozwoju jest potrzebne. Miel rację, istotnie mieli rację. Ale tylko do tego momentu. Dalej bowiem nie można się zgodzić z ich rozumowaniem. Zebrani przy mikrofonie pedagogicy, lekarze, literaci, prawnicy wysłali całą

swoją pomysłowość, by znaleźć środki, pozwalające na prowadzenie życia seksualnego, bez jego naturalnych skutków. A tu słowa jednak przez całą audycję nie wspomnieli o tym, że rozwiązując te niewątpliwie trudne i skomplikowane zagadnienia, trzeba przede wszystkim przyjąć jakąś normę w zakresie samego życia seksualnego, że najlepszym sposobem uniknięcia nieświadomego macierzyństwa i ojcostwa jest wstrzemięliwość i opanowanie życia seksualnego.

Aż dziwne jak ta audycja (a dodajmy i poprzednia publicystyka w tej sprawie) pozbawiona była tego motywu. Przedstawicielka sądów dla nieletnich ubolewała nad tym, że szesnastoletnie dziewczęta tak często zgłaszają się do urzędów stanu cywilnego, pragnąc zawrzeć ślub, bo są już w ciąży, stwierdzała, że najczęstszym skutkiem takiego ślubu jest bardzo rychły rozwód, że cierpi na tym dziecko, ale wśród środków zaradczych widziała jedynie dokładniejsze uświadomienie i środki antykoncepcyjne. Istotnie, uświadomienie dziewcząt powinno być dokonywane troskliwie, a przede wszystkim mądrzej niż dotychczas. Chyba jednak przede wszystkim trzeba dać dziewczętom jakieś zasady etyczne w zakresie życia seksualnego. Tymczasem o tym głucho. Nad całym programem unosiło się założenie, że młodzież musi żyć seksualnie, że nawet powinna (czy dwudziestoparoletni studenci, nie mający warunków na zawarcie małżeństwa, mogą marnować najpiękniejsze lata bez miłości? — Kozłowski) być tylko nie było z tego dziecka Powtarzam — istotnie lekomyślność w kreowaniu nowego życia jest niedopuszczalna. Zabiegi mechaniczne bez postawienia jasnej zasady etycznej nic tu nie pomogą. Potrzebna jest przede wszystkim wyraźna odpowiedź — czy ma prowadzić życie seksualne każdy z każdego i kiedy tylko chce, a rzeczą społeczeństwa jest jedynie pilnować, by nie było z tego ujemnych skutków w postaci ciąży, czy jednak muszą być jakieś granice i hamulce w samym życiu seksualnym. To dobrze, że szesnastoletnia dziewczyna, po masowym prowadzeniu środków antykoncepcyjnych z granicy, nie zajdzie w ciążę, nie weźmie ślubu „z konieczności”, nie zgłosi się w pół roku później o rozwód. Przedstawicielka sądów dla nieletnich będzie miała mniej kłopotów. Ale może istotniejsze społecznie jest to, by młodzież w ogóle nie zaczynała życia erotycznego zbyt wczesnie, by kierowała swym swoim postępowaniem w tym zakresie nie ze względu na obawę ciąży, ale w imię jakiejś zasady moralnej. Bo przy charakterystycznym tu postawieniu sprawy dojdzie do dziwnych wniosków. Żyć będzie erotycznie dziewczyna szesnastoletnia, jej o rok młodszą koleżanką i ich siostrą trzynastoletnią. Dlaczego właściwie nie? Będą przecież uświadomione i uzbrojone w najnowocześniejsze środki zapobiegawcze, w ciążę nie zajdą, więc o co chodzi?

Nie, ta audycja nie była dostatecznie przemyślana, ani zredagowana z dostatecznym poczuciem odpowiedzialności. Aż szkoda, że zaangażowano w niej tak poważne instytucje. Przecież właśnie po nich słuchacz winni się spodziewać doległego naświetlenia problemu. Ale tak już jakos się składa, że wszystko, co na ten temat się pisze od jakiegoś czasu, w barzo dużej części jest po prostu balamutne. Sprawdza się w gruncie rzeczy do prymitywnego rozumowania — jest źle, rodzą się dzieci, których rodzice nie chcą, kobiety dokonują skrobaneek, młodzież lekomyślnie zawiera małżeństwa, jest zbyt wiele rozwodów, undostępnijmy więc środki antykoncepcyjne, będzie dobrze, wszyscy będą zadowoleni.

Chyba nie trzeba ponownie udowadniać całego absurdu podobnego rozumowania. Przypomina on poglądy naszych przodków słowian, którzy według znanej książki prof. Kostrzewskiego o kulturze prapolskiej, w ogóle nie wiązali życia seksualnego z macierzyństwem. Tu próbuje się także dokonać jakiegoś rozdziału Życie erotyczne sobie, macierzyństwo i ojcostwo sobie. Z chęcią gdy jedno odgraniczy się od drugiego będzie dobrze. A o tym, na jakich zasadach moralnych winno być oparte samo życie erotyczne, ani słowa.

Dla katolików już przed dwudziestoma wiekami sprawa została raz na zawsze określona i nie trzeba chyba jej to powtarzać. Ale myślę, że i rozumując w kategoriach ściśle przyrodzonych, uwzględniając jedynie dobro społeczne i etykę naturalną, odpowiedź powinna być odmienne od tego, co proponują ostatnio różni publicyści. Jest jakos niezgodne ze zwykłym poczuciem społecznym, z humanistyczną definicją słowa „miłość”, widzieć zagadnienie jedynie ze strony mechanicznego zapobiegania porzuceniu i o nic więcej się nie troszczyć. Istnieje przecież także w etyce laickiej jakieś zasady, jakieś normy, według których winno być układane życie między mężczyzną i kobietą. Te zasady winno być wpajane młodzieży, a całe społeczeństwo powinno się troszczyć, by były przestrzegane. Winni również troszczyć się uczestnicy omawianej audycji. Tej troski zabrakło i dlatego audycji za udaną uważać nie można.

ROBNA twarz w okularach i uśmiech zapamiętany raz na zawsze. Przecież się znamy — No tak. — Pamiętasz, w Bukareszcie na zebraniu młodych chrześcijan siedzieliśmy obok siebie, Bill? — W ciągu tych dwóch lat trochę się zmieniło.

Stracił wiarę, wystąpił z Christian Movement. Obecnie pracuje w miejscowej organizacji „Labor Youth”. — Wiesz, konserwatywizm naszego Cuchowienstwa był nie do zniesienia.

Machinalnie kiwam głową, ale w gruncie rzeczy jest mi strasznie smutno. Przecież jako coś innego jak wielka chrześcijańska zarliwość pełnęła Billa na tory pracy społecznej.

Formalności celne ślimaczyły się około trzech godzin. Trudność polegała na wycenie 100 płyt z polskimi pieśniami i tańcami ludowymi, które wieźliśmy jako dar dla uczestników Festiwalu. Wiedziałem, że Billowi bardzo się spieszy, że czeka go dziś mnóstwo zajęć.

— Jeszcze nas nie puszczają, Bill —

Z cierpliwością Buddy plasował się na okropowanej przez nas dworcowej ławce, podniósł palec do góry i mówił: o key.

Dzięki pomocy młodych urzędników celnych bardzo poruszonych informacją, że jesteśmy tu z ramienia Komitetu organizującego Festiwal Warszawski, formalności wreszcie mieliśmy za sobą. Mknęliśmy szeroką autostradą wśród lakierowanych, campingowych domków. Na szosie jako się od samochodów: pomarańczowe, zielone, żółte, różowe, na ogół model 55.

A to jest Montreal, oznajmił z dumą Bill, kiedyśmy ujechali kilkanaście kilometrów od aéroportu.

Sznurowy samochodów, mrowie reklam, ludne, gwarne ulice, a więc stempel wielkośći. Co jednak sprawia, że nie odczuwam, jak zwykle w mieście, ograniczenia przestrzeni i powietrza? — Otóż mile zdziwienie w Montrealu polega na zobaczeniu jednopiętrowego miasta — Ottawa, Toronto, Niagara, Hamilton oraz miast w ciągu pobytu mniejsze osiedla potwierdzają tę szczęśliwą regułę. Wychowany na wsi, mam urbanistyczną fobię i zachwyca mnie widok mariażu wiejskiej przytulności z wysoka cywilizacją techniczną. Oczywiście, wszystkie z wyliczonych miast posiadają kilka dlapaczy Są bezstylowe, brzydkie, przypadkowe.

W kinach niemal wyłącznie filmy cowbojskie. Czasami dociera tu coś wartościowego z produkcji włoskiej i francuskiej.

Niemcy się teraz ku górze. Piękna, ocieniona drzewami dzielnica willowa. Dzielnica ludzi bogatych — obniżają nasz towarzyszy.

Mówiono mi, że w tutejszych miastach wysokość stopy życiowej określa jednocześnie stosunek między budową mieszkań a poziomem morza. Najczęściej na najwyższych wzniesieniach mieszkają ludzie, którym się bardzo dobrze powodzi.

Do Warszawy przyjeżdże około 50 naszych chłopaków i dziewcząt — informuje Bill. Koszty wynoszą 700 dolarów, każdy z uczestników płaci za siebie i tylko kilku kolegom możemy z ubieranych pieniędzy opłacić podróz. — W Camp Palermo wielu z nich zobaczę. Dopytuję o to bliższe szczegóły, rozpoczynając się tam pierwszego lipca, to znaczy piątku, dwudniowego festiwalu. Jest drugim z rzędu organizowanym w prowincji Ontario. Do jego komitetu wchodzi przedstawiciel Labor Youth oraz szerokiego wachla, za postępowych organizatorów niedowolnościowych Związku Ukraińców spotkacie tam sportu. Mają taką organizację — tu Bill podniósł palec.

W dyskusji na temat społeczne, która odbędzie się w Camp Palermo, obiecał swój udział student protestancki Wielu pastorów czynnie manifestuje swoje poparcie dla ruchu pokoju młodzieży protestanckiej jest łatwiej.

Leż Montreal, to przecież Québec Prowincja w większości zamieszkała przez ludność pochodzenia francuskiego, przez katolików.

Kolonizacji francuskiej przylży tu jeszcze przed mieszczkańską Rewolucją. Wiele ludwikońskich relikwów przetrwało. Kler jest wciąż stanem, w najbardziej dosiowym tego terminu znaczeniu.

Ludność tamtejsza, pracowita i ofiarna, oświeceniem nie grzeszy. Jakże często jej budująca religijność jest nadużywana przez duchownych, którzy — jak mi opowiadało — nawet w okresie najcięższego kryzysu z lat trzydziestych nie zawsze decydowali się na obniżenie kościelnej daniny. Proboszcz wiejski jest nadal w Québecu nie tylko duchownym, lecz i politycznym przywódcą parafii. Ksiądz patrola — à rebours — uśmiecham się do siebie i wspomniam, jak burliwie dyskusię wywołała w Halinie teza, iż rola kapłana społecznie postępowego nie polega bynajmniej na politycznym kierowaniu parafianami, ale na ustawicznym pogłębianiu misji duszpasterskiej przez przenikanie światopoglądowa inspiracją wszystkich dziedzin życia.

Przed dworcem Windsor ani rusz nie możemy zaparkować wozu. Wszędzie tabliczki z napisem: „privat”. Drzwi dworcowe działają na zasadzie pomysłowego umieszczenia komórki fotoelektrycznej. Gdy pasażer zmieni, ku nim przewyła dopływ światła i drzwi otwierają się samoczynnie.

W poszukiwaniu miejsca dla postoju wozu krecimy się po sąsiednich ulicach. Jest coraz upalniej. Jednak letni ubiór mężczyzom to naj-

## GENEWA TRWA

JEDNO jest pewne, proszę państwa — powiedziała mi z bliskim radości w oczach pewna starsza i „nie zajmująca się polityką” znajoma — w Genewie narzeczcie wyjęto noże z rębów. Spodobała mi się w tym nie tylko lapidarność określenia; spodobało mi się przede wszystkim żywe, bezpośrednie uczucie radości z przełamania lodów zimnej wojny u człowieka, który zawsze ostro odzygnął się od spraw wielkiej polityki. I myślę, że to właśnie — ta radość i ulga wyrażana w najszerszych kręgach społeczeństwa — jest najlepszym dowodem sukcesu konferencji genewskiej; sukcesu, polegającego na odeganiu zmyru III wojny, na zagłuszeniu wojowniczego werbla, w takt którego jeszcze niedawno krzyczano o „masowym odwecie” i „polityce z pozycji siły”.

„ Nauka, jaką obie strony powinny wyciągnąć — pisał dwa dni po konferencji londyński „Daily Telegraph” — jest to, iż ani Wschód, ani Zachód nie wierzy, aby wojna mogła przysłużyć się ich celom w Europie... Uśmiechy, uściski dłoni i powszechna dobrodusność były po prostu zewnętrznym wyrazem tej podstawowej prawdy. Mam wątpliwości co do określenia „obie strony” — Związek Radziecki zna tę podstawową prawdę już od dziesięciu lat — ale niewątpliwie nigdy dotychczas nie wyrażono tak mocno i tak zgodnie przeświadczenia, że wojna w obecnym układzie sił i przy obecnym rozwoju niszczycielskich broni jest absurdem.

Konferencja genewska nie pojawiła się nagle na horyzoncie, jak Afrodyta z plany morskiej. Wiodła do niej — jak do każdego „spotkania na szczytach” — długa i trudna ścieżka. Chwilami zdawało się nawet, że ścieżka się urywa: przecież jeszcze niedługo przed terminem konferencji oświadczenia oficjalnych kół USA stawiały jej celowość pod znakiem zapytania. Mimo to doprowadziła do celu. Było to możliwe — nie bójmy się utartych określeń — dzięki dwóm czynnikom. Z jednej strony — uparta, konsekwentna polityka Związku Radzieckiego, wykazująca praktycznie nonsensowność stawiania spraw

z pozycji siły, z drugiej — powszechne, gorące pragnienie pokoju wśród wszystkich narodów. „Jeden tylko moment może wzbudzać niezadowolenie w konferencji genewskiej — fakt, że skończyła się. Świat pragnąłby widzieć jej stałą kontynuację. Nacisk opinii publicznej na pokój jest tak silny, że żadne niedogodności dla meźów stanu — powiedzmy zwolka w zaliczaniu spraw urzędowych — nie powinny przeszkadzać, jeśli istnieje jakakolwiek szansa na ostateczne porozumienie” pisał w końcu lipca komentator „New York Herald Tribune” Lawrence. A w następnym numerze tego samego piśmie inny komentator, Drummond stwierdza w liście otwartym do premiera Bulganina — „Prezydent Eisenhower jest człowiekiem pokoju nie tylko dlatego, że jest Eisenhowerem; jest człowiekiem pokoju, ponieważ wyraża nadzieję, pragnienia i instynktowne dążenia 165 milionów Amerykanów”. Z satysfakcją przytaczam te słowa; nieraz do wleń zdarzyło się polemizować z wojowniczymi, fałszywymi, złośliwymi ich wypowiedziami. Nie twierdze, iż panowie Drummond i Lawrence nagle zmienili swe zapatrywania. Ale to są dobrzy dziennikarze i wiedzą, że w pewnym momencie trzeba powiedzieć prawdę nawet o własnym narodzie.

Postawa narodu amerykańskiego miała ogromny wpływ na konferencję. Można się bowiem nie godzić z poglądami niektórych pism zachodnich, że Genewa była dialogiem między ZSRR i USA — przecież i Eden i Faure wnieśli bardzo istotny wkład do rozmów, przedstawili szczegółowo swoje poglądy i plany, które — jak to podkreślił premier Bulganin na sesji Rady Najwyższej — mogą stanowić podstawę do konstruktywnej dyskusji w październiku. Ale niewątpliwie Stany Zjednoczone, jako najmocniejszy partner zachodniego obozu, determinowały politykę tego obozu; niewątpliwie one były w pierwszej linii odpowiedzialne za doprowadzenie do stanu zimnej wojny. I dlatego nagle, dramatyczna (w tym dodatni sensie) zmiana ich polityki jest tak bardzo istotna; a w niej aktywna, bezpośrednią rolę odegrała postawa narodu amerykańskiego.

Opinia publiczna świata i poczucie realizmu zachodnich meźów stanu stanowiły istotne przesłanki odrotu od zimnej wojny. Ale na to, żeby odwrót rozpoczął się rzeczywiście, konieczne było stworzenie atmosfery wzajemnego zaufania. Normalne środki komunikacji dyplomatycznej nie mogły tu wystarczyć. Niezbyt potrafię sobie wyobrazić taką na przykład notę — „Ambasada Stanów Zjednoczonych przesyła wyrazy poważania Ministerstwu Spraw Zagranicznych ZSRR i ma zaszczyt zakomunikować, że rząd jej i naród pragną pokoju”. A nawet, gdyby ją wysłano, skutek byłby niewielki. Dia-

tego też Genewa stworzyła szczerą szansę — odbudowy wzajemnego zaufania w bezpośrednich, osobistych kontaktach przywódców wielkich mocarstw. Dowcipnie, kulturalnie rozmowy przywódców radzieckich, które przytaczała prasa zachodnia, czy też komplet na biurku, ofiarowany przez Eisenhowera córce marszałka Żukowa mają nie tylko wator anegdoty; a w wypowiedziach prezydenta USA, że po prywatnych rozmowach z poszczególnymi członkami delegacji radzieckiej doszedł do przekonania, iż uszczęśliwił on szerzej pragna pokój, tkwi o wiele głębszy sens niż to się na ogół wydaje.

\*

Napisaliśmy: konferencja stworzyła szansę odbudowy wzajemnego zaufania. Miesiąc zaledwie upłynął od jej zakończenia, ale już możemy stwierdzić, że szansa ta nie została zmarnowana. Przede wszystkim potwierdzono ogromne znaczenie osobistych kontaktów. Zaprośzenie przywódców radzieckich do odwiedzenia Wielkiej Brytanii na wiosnę 1956 r. wywołało w Izbie Gmin entuzjazm wręcz niezwykły dla charakteru narodowego Anglików; a posel Zillaciusz wystąpił natychmiast z sugestią, aby parlamentarzyści brytyjscy zabrosili do Londynu delegację parlamentarzystów radzieckich w celu przedyskutowania bieżących spraw. W sukurs Izbie Gmin posłała cała prasa. „Zapowiedź wizyty Bulganina i Chruszczowa w Londynie, to uśmiałą nowina” pisze „Daily Express”; „Jest to bezwzględnie ship milowy w polityce obu narodów” oznajmia „News Chronicle”; „Oświadczenie Edena... stanowi zaślony najbardziej wstrząsajacego wydarzenia od chwili, gdy bomba atomowa wybuchła nad Hiroshima” wola popularny „Daily Mail”. Z podobną radością przyjęto w Paryżu wiadomość o zaproszeniu premiera Faure i ministra Pinay do Moskwy.

Na konferencji genewskiej nie omawiano — mimo sugestii Związku Radzieckiego — problemów bardzo neuralgicznego regionu kuli ziemskiej Dalekiego Wschodu. Konferencja oficjalnie ograniczyła się do teatru europejskiego. Ale w istocie oddziałala ona bezpośrednio także na sprawy azjatyckie. W tydzień po zamknięciu konferencji w tym samym palacu Narodów odbyła się druga — o wiele mniej liczna, mniej uśmiałą, a jednak budząca olbrzymie zainteresowanie i nadzieje. Po raz pierwszy od chwili powstania Chin Ludowych nastąpiły bezpośrednie rozmowy między państwami — mimo sugestii Związku Radzieckiego — problemom bardzo neuralgicznego regionu kuli ziemskiej Dalekiego Wschodu. Konferencja oficjalnie ograniczyła się do teatru europejskiego. Ale w istocie oddziałala ona bezpośrednio także na sprawy azjatyckie. W tydzień po zamknięciu konferencji w tym samym palacu Narodów odbyła się druga — o wiele mniej liczna, mniej uśmiałą, a jednak budząca olbrzymie zainteresowanie i nadzieje. Po raz pierwszy od chwili powstania Chin Ludowych nastąpiły bezpośrednie rozmowy między państwami — mimo sugestii Związku Radzieckiego — problemom bardzo neuralgicznego regionu kuli ziemskiej Dalekiego Wschodu. Konferencja oficjalnie ograniczyła się do teatru europejskiego. Ale w istocie oddziałala ona bezpośrednio także na sprawy azjatyckie. W tydzień po zamknięciu konferencji w tym samym palacu Narodów odbyła się druga — o wiele mniej liczna, mniej uśmiałą, a jednak budząca olbrzymie zainteresowanie i nadzieje. Po raz pierwszy od chwili powstania Chin Ludowych nastąpiły bezpośrednie rozmowy między państwami — mimo sugestii Związku Radzieckiego — problemom bardzo neuralgicznego regionu kuli ziemskiej Dalekiego Wschodu. Konferencja oficjalnie ograniczyła się do teatru europejskiego. Ale w istocie oddziałala ona bezpośrednio także na sprawy azjatyckie. W tydzień po zamknięciu konferencji w tym samym palacu Narodów odbyła się druga — o wiele mniej liczna, mniej uśmiałą, a jednak budząca olbrzymie zainteresowanie i nadzieje. Po raz pierwszy od chwili powstania Chin Ludowych nastąpiły bezpośrednie rozmowy między państwami — mimo sugestii Związku Radzieckiego — problemom bardzo neuralgicznego regionu kuli ziemskiej Dalekiego Wschodu. Konferencja oficjalnie ograniczyła się do teatru europejskiego. Ale w istocie oddziałala ona bezpośrednio także na sprawy azjatyckie. W tydzień po zamknięciu konferencji w tym samym palacu Narodów odbyła się druga — o wiele mniej liczna, mniej uśmiałą, a jednak budząca olbrzymie zainteresowanie i nadzieje. Po raz pierwszy od chwili powstania Chin Ludowych nastąpiły bezpośrednie rozmowy między państwami — mimo sugestii Związku Radzieckiego — problemom bardzo neuralgicznego regionu kuli ziemskiej Dalekiego Wschodu. Konferencja oficjalnie ograniczyła się do teatru europejskiego. Ale w istocie oddziałala ona bezpośrednio także na sprawy azjatyckie. W tydzień po zamknięciu konferencji w tym samym palacu Narodów odbyła się druga — o wiele mniej liczna, mniej uśmiałą, a jednak budząca olbrzymie zainteresowanie i nadzieje. Po raz pierwszy od chwili powstania Chin Ludowych nastąpiły bezpośrednie rozmowy między państwami — mimo sugestii Związku Radzieckiego — problemom bardzo neuralgicznego regionu kuli ziemskiej Dalekiego Wschodu. Konferencja oficjalnie ograniczyła się do teatru europejskiego. Ale w istocie oddziałala ona bezpośrednio także na sprawy azjatyckie. W tydzień po zamknięciu konferencji w tym samym palacu Narodów odbyła się druga — o wiele mniej liczna, mniej uśmiałą, a jednak budząca olbrzymie zainteresowanie i nadzieje. Po raz pierwszy od chwili powstania Chin Ludowych nastąpiły bezpośrednie rozmowy między państwami — mimo sugestii Związku Radzieckiego — problemom bardzo neuralgicznego regionu kuli ziemskiej Dalekiego Wschodu. Konferencja oficjalnie ograniczyła się do teatru europejskiego. Ale w istocie oddziałala ona bezpośrednio także na sprawy azjatyckie. W tydzień po zamknięciu konferencji w tym samym palacu Narodów odbyła się druga — o wiele mniej liczna, mniej uśmiałą, a jednak budząca olbrzymie zainteresowanie i nadzieje. Po raz pierwszy od chwili powstania Chin Ludowych nastąpiły bezpośrednie rozmowy między państwami — mimo sugestii Związku Radzieckiego — problemom bardzo neuralgicznego regionu kuli ziemskiej Dalekiego Wschodu. Konferencja oficjalnie ograniczyła się do teatru europejskiego. Ale w istocie oddziałala ona bezpośrednio także na sprawy azjatyckie. W tydzień po zamknięciu konferencji w tym samym palacu Narodów odbyła się druga — o wiele mniej liczna, mniej uśmiałą, a jednak budząca olbrzymie zainteresowanie i nadzieje. Po raz pierwszy od chwili powstania Chin Ludowych nastąpiły bezpośrednie rozmowy między państwami — mimo sugestii Związku Radzieckiego — problemom bardzo neuralgicznego regionu kuli ziemskiej Dalekiego Wschodu. Konferencja oficjalnie ograniczyła się do teatru europejskiego. Ale w istocie oddziałala ona bezpośrednio także na sprawy azjatyckie. W tydzień po zamknięciu konferencji w tym samym palacu Narodów odbyła się druga — o wiele mniej liczna, mniej uśmiałą, a jednak budząca olbrzymie zainteresowanie i nadzieje. Po raz pierwszy od chwili powstania Chin Ludowych nastąpiły bezpośrednie rozmowy między państwami — mimo sugestii Związku Radzieckiego — problemom bardzo neuralgicznego regionu kuli ziemskiej Dalekiego Wschodu. Konferencja oficjalnie ograniczyła się do teatru europejskiego. Ale w istocie oddziałala ona bezpośrednio także na sprawy azjatyckie. W tydzień po zamknięciu konferencji w tym samym palacu Narodów odbyła się druga — o wiele mniej liczna, mniej uśmiałą, a jednak budząca olbrzymie zainteresowanie i nadzieje. Po raz pierwszy od chwili powstania Chin Ludowych nastąpiły bezpośrednie rozmowy między państwami — mimo sugestii Związku Radzieckiego — problemom bardzo neuralgicznego regionu kuli ziemskiej Dalekiego Wschodu. Konferencja oficjalnie ograniczyła się do teatru europejskiego. Ale w istocie oddziałala ona bezpośrednio także na sprawy azjatyckie. W tydzień po zamknięciu konferencji w tym samym palacu Narodów odbyła się druga — o wiele mniej liczna, mniej uśmiałą, a jednak budząca olbrzymie zainteresowanie i nadzieje. Po raz pierwszy od chwili powstania Chin Ludowych nastąpiły bezpośrednie rozmowy między państwami — mimo sugestii Związku Radzieckiego — problemom bardzo neuralgicznego regionu kuli ziemskiej Dalekiego Wschodu. Konferencja oficjalnie ograniczyła się do teatru europejskiego. Ale w istocie oddziałala ona bezpośrednio także na sprawy azjatyckie. W tydzień po zamknięciu konferencji w tym samym palacu Narodów odbyła się druga — o wiele mniej liczna, mniej uśmiałą, a jednak budząca olbrzymie zainteresowanie i nadzieje. Po raz pierwszy od chwili powstania Chin Ludowych nastąpiły bezpośrednie rozmowy między państwami — mimo sugestii Związku Radzieckiego — problemom bardzo neuralgicznego regionu kuli ziemskiej Dalekiego Wschodu. Konferencja oficjalnie ograniczyła się do teatru europejskiego. Ale w istocie oddziałala ona bezpośrednio także na sprawy azjatyckie. W tydzień po zamknięciu konferencji w tym samym palacu Narodów odbyła się druga — o wiele mniej liczna, mniej uśmiałą, a jednak budząca olbrzymie zainteresowanie i nadzieje. Po raz pierwszy od chwili powstania Chin Ludowych nastąpiły bezpośrednie rozmowy między państwami — mimo sugestii Związku Radzieckiego — problemom bardzo neuralgicznego regionu kuli ziemskiej Dalekiego Wschodu. Konferencja oficjalnie ograniczyła się do teatru europejskiego. Ale w istocie oddziałala ona bezpośrednio także na sprawy azjatyckie. W tydzień po zamknięciu konferencji w tym samym palacu Narodów odbyła się druga — o wiele mniej liczna, mniej uśmiałą, a jednak budząca olbrzymie zainteresowanie i nadzieje. Po raz pierwszy od chwili powstania Chin Ludowych nastąpiły bezpośrednie rozmowy między państwami — mimo sugestii Związku Radzieckiego — problemom bardzo neuralgicznego regionu kuli ziemskiej Dalekiego Wschodu. Konferencja oficjalnie ograniczyła się do teatru europejskiego. Ale w istocie oddziałala ona bezpośrednio także na sprawy azjatyckie. W tydzień po zamknięciu konferencji w tym samym palacu Narodów odbyła się druga — o wiele mniej liczna, mniej uśmiałą, a jednak budząca olbrzymie zainteresowanie i nadzieje. Po raz pierwszy od chwili powstania Chin Ludowych nastąpiły bezpośrednie rozmowy między państwami — mimo sugestii Związku Radzieckiego — problemom bardzo neuralgicznego regionu kuli ziemskiej Dalekiego Wschodu. Konferencja oficjalnie ograniczyła się do teatru europejskiego. Ale w istocie oddziałala ona bezpośrednio także na sprawy azjatyckie. W tydzień po zamknięciu konferencji w tym samym palacu Narodów odbyła się druga — o wiele mniej liczna, mniej uśmiałą, a jednak budząca olbrzymie zainteresowanie i nadzieje. Po raz pierwszy od chwili powstania Chin Ludowych nastąpiły bezpośrednie rozmowy między państwami — mimo sugestii Związku Radzieckiego — problemom bardzo neuralgicznego regionu kuli ziemskiej Dalekiego Wschodu. Konferencja oficjalnie ograniczyła się do teatru europejskiego. Ale w istocie oddziałala ona bezpośrednio także na sprawy azjatyckie. W tydzień po zamknięciu konferencji w tym samym palacu Narodów odbyła się druga — o wiele mniej liczna, mniej uśmiałą, a jednak budząca olbrzymie zainteresowanie i nadzieje. Po raz pierwszy od chwili powstania Chin Ludowych nastąpiły bezpośrednie rozmowy między państwami — mimo sugestii Związku Radzieckiego — problemom bardzo neuralgicznego regionu kuli ziemskiej Dalekiego Wschodu. Konferencja oficjalnie ograniczyła się do teatru europejskiego. Ale w istocie oddziałala ona bezpośrednio także na sprawy azjatyckie. W tydzień po zamknięciu konferencji w tym samym palacu Narodów odbyła się druga — o wiele mniej liczna, mniej uśmiałą, a jednak budząca olbrzymie zainteresowanie i nadzieje. Po raz pierwszy od chwili powstania Chin Ludowych nastąpiły bezpośrednie rozmowy między państwami — mimo sugestii Związku Radzieckiego — problemom bardzo neuralgicznego regionu kuli ziemskiej Dalekiego Wschodu. Konferencja oficjalnie ograniczyła się do teatru europejskiego. Ale w istocie oddziałala ona bezpośrednio także na sprawy azjatyckie. W tydzień po zamknięciu konferencji w tym samym palacu Narodów odbyła się druga — o wiele mniej liczna, mniej uśmiałą, a jednak budząca olbrzymie zainteresowanie i nadzieje. Po raz pierwszy od chwili powstania Chin Ludowych nastąpiły bezpośrednie rozmowy między państwami — mimo sugestii Związku Radzieckiego — problemom bardzo neuralgicznego regionu kuli ziemskiej Dalekiego Wschodu. Konferencja oficjalnie ograniczyła się do teatru europejskiego. Ale w istocie oddziałala ona bezpośrednio także na sprawy azjatyckie. W tydzień po zamknięciu konferencji w tym samym palacu Narodów odbyła się druga — o wiele mniej liczna, mniej uśmiałą, a jednak budząca olbrzymie zainteresowanie i nadzieje. Po raz pierwszy od chwili powstania Chin Ludowych nastąpiły bezpośrednie rozmowy między państwami — mimo sugestii Związku Radzieckiego — problemom bardzo neuralgicznego regionu kuli ziemskiej Dalekiego Wschodu. Konferencja oficjalnie ograniczyła się do teatru europejskiego. Ale w istocie oddziałala ona bezpośrednio także na sprawy azjatyckie. W tydzień po zamknięciu konferencji w tym samym palacu Narodów odbyła się druga — o wiele mniej liczna, mniej uśmiałą, a jednak budząca olbrzymie zainteresowanie i nadzieje. Po raz pierwszy od chwili powstania Chin Ludowych nastąpiły bezpośrednie rozmowy między państwami — mimo sugestii Związku Radzieckiego — problemom bardzo neuralgicznego regionu kuli ziemskiej Dalekiego Wschodu. Konferencja oficjalnie ograniczyła się do teatru europejskiego. Ale w istocie oddziałala ona bezpośrednio także na sprawy azjatyckie. W tydzień po zamknięciu konferencji w tym samym palacu Narodów odbyła się druga — o wiele mniej liczna, mniej uśmiałą, a jednak budząca olbrzymie zainteresowanie i nadzieje. Po raz pierwszy od chwili powstania Chin Ludowych nastąpiły bezpośrednie rozmowy między państwami — mimo sugestii Związku Radzieckiego — problemom bardzo neuralgicznego regionu kuli ziemskiej Dalekiego Wschodu. Konferencja oficjalnie ograniczyła się do teatru europejskiego. Ale w istocie oddziałala ona bezpośrednio także na sprawy azjatyckie. W tydzień po zamknięciu konferencji w tym samym palacu Narodów odbyła się druga — o wiele mniej liczna, mniej uśmiałą, a jednak budząca olbrzymie zainteresowanie i nadzieje. Po raz pierwszy od chwili powstania Chin Ludowych nastąpiły bezpośrednie rozmowy między państwami — mimo sugestii Związku Radzieckiego — problemom bardzo neuralgicznego regionu kuli ziemskiej Dalekiego Wschodu. Konferencja oficjalnie ograniczyła się do teatru europejskiego. Ale w istocie oddziałala ona bezpośrednio także na sprawy azjatyckie. W tydzień po zamknięciu konferencji w tym samym palacu Narodów odbyła się druga — o wiele mniej liczna, mniej uśmiałą, a jednak budząca olbrzymie zainteresowanie i nadzieje. Po raz pierwszy od chwili powstania Chin Ludowych nastąpiły bezpośrednie rozmowy między państwami — mimo sugestii Związku Radzieckiego — problemom bardzo neuralgicznego regionu kuli ziemskiej Dalekiego Wschodu. Konferencja oficjalnie ograniczyła się do teatru europejskiego. Ale w istocie oddziałala ona bezpośrednio także na sprawy azjatyckie. W tydzień po zamknięciu konferencji w tym samym palacu Narodów odbyła się druga — o wiele mniej liczna, mniej uśmiałą, a jednak budząca olbrzymie zainteresowanie i nadzieje. Po raz pierwszy od chwili powstania Chin Ludowych nastąpiły bezpośrednie rozmowy między państwami — mimo sugestii Związku Radzieckiego — problemom bardzo neuralgicznego regionu kuli ziemskiej Dalekiego Wschodu. Konferencja oficjalnie ograniczyła się do teatru europejskiego. Ale w istocie oddziałala ona bezpośrednio także na sprawy azjatyckie. W tydzień po zamknięciu konferencji w tym samym palacu Narodów odbyła się druga — o wiele mniej liczna, mniej uśmiałą, a jednak budząca olbrzymie zainteresowanie i nadzieje. Po raz pierwszy od chwili powstania Chin Ludowych nastąpiły bezpośrednie rozmowy między państwami — mimo sugestii Związku Radzieckiego — problemom bardzo neuralgicznego regionu kuli ziemskiej Dalekiego Wschodu. Konferencja oficjalnie ograniczyła się do teatru europejskiego. Ale w istocie oddziałala ona bezpośrednio także na sprawy azjatyckie. W tydzień po zamknięciu konferencji w tym samym palacu Narodów odbyła się druga — o wiele mniej liczna, mniej uśmiałą, a jednak budząca olbrzymie zainteresowanie i nadzieje. Po raz pierwszy od chwili powstania Chin Ludowych nastąpiły bezpośrednie rozmowy między państwami — mimo sugestii Związku Radzieckiego — problemom bardzo neuralgicznego regionu kuli ziemskiej Dalekiego Wschodu. Konferencja oficjalnie ograniczyła się do teatru europejskiego. Ale w istocie oddziałala ona bezpośrednio także na sprawy azjatyckie. W tydzień po zamknięciu konferencji w tym samym palacu Narodów odbyła się druga — o wiele mniej liczna, mniej uśmiałą, a jednak budząca olbrzymie zainteresowanie i nadzieje. Po raz pierwszy od chwili powstania Chin Ludowych nastąpiły bezpośrednie rozmowy między państwami — mimo sugestii Związku Radzieckiego — problemom bardzo neuralgicznego regionu kuli ziemskiej Dalekiego Wschodu. Konferencja oficjalnie ograniczyła się do teatru europejskiego. Ale w istocie oddziałala ona bezpośrednio także na sprawy azjatyckie. W tydzień po zamknięciu konferencji w tym samym palacu Narodów odbyła się druga — o wiele mniej liczna, mniej uśmiałą, a jednak budząca olbrzymie zainteresowanie i nadzieje. Po raz pierwszy od chwili powstania Chin Ludowych nastąpiły bezpośrednie rozmowy między państwami — mimo sugestii Związku Radzieckiego — problemom bardzo neuralgicznego regionu kuli ziemskiej Dalekiego Wschodu. Konferencja oficjalnie ograniczyła się do teatru europejskiego. Ale w istocie oddziałala ona bezpośrednio także na sprawy azjatyckie. W tydzień po zamknięciu konferencji w tym samym palacu Narodów odbyła się druga — o wiele mniej liczna, mniej uśmiałą, a jednak budząca olbrzymie zainteresowanie i nadzieje. Po raz pierwszy od chwili powstania Chin Ludowych nastąpiły bezpośrednie rozmowy między państwami — mimo sugestii Związku Radzieckiego — problemom bardzo neuralgicznego regionu kuli ziemskiej Dalekiego Wschodu.



wyżej niebieskie, brezentowe spodnie cowboyskie z przepiślowym mankietem. A gdyby tak wiozący shorty? — wzdycha Jarek. — Byłbyś z miejsca spalony — śmieje się Bill znad kierownicy.

#### PONTIAKI I MOTELE

Do Ottawy jechałem nocą. W pociągu elektrycznym fotele jak w samolocie, więc można było drzemać. Potem krótki spacer z dystyngowanym „Lord Elgin Hotel” z biblią na stoliku nocnym i wysokim rachunkiem. Następnie wizyta w naszym poselstwie, przejazdka po zielonej stolicy i podróż do Toronto.

Z radością skorzystaliśmy z uprzejmości pierwszego sekretarza poselstwa, który ofiarował się zawieźć nas na blisko 500 kilometrów samochodem. Choć dopuszczalna szybkość wozów wynosi, zdaje się, 40 mil, nikt się tym nie przejmując i przeciętna kształtuje się w granicach 60—70, to jest ponad 100 kilometrów. Co kilka mil — benzynowa stacja obsługi, więc rola kierowcy ogranicza się wyłącznie do prowadzenia. Podczas mojego pobytu jeden weekend przyniósł 93 śmiertelne wypadki na szosach Kanady.

Kupno samochodu, jak i w ogóle droższych przedmiotów, opiera się tu na systemie ratalnym. Można mieć spłacone wszystkie raty przez jedną, a jeśli się jej w oznaczonym terminie nie uiszczy — wóz albo dom trzeba oddać.

Czarny Pontiac poselstwa jest niemal wyjątkiem w uoszacym nas potoku kolorowych wozów. Packardy, Chevrolety, Pontiaki, Buicki i Fordy mienia się jak egzotyczne zuki w ciemno-zielonym wąwozie p. szczy, którym gna autostrada. Za zakretem jezioro, drugie, trzecie. Flora i krajobraz, jakby Mazury lub Ziemia Lubuska, tylko wymiar większy. Las jest puszcza, staw — jeziorem, jezioro — morzem. Fauna... Ach, cóż za niesamowity zapach? To tutejszy tchór, skunks innymi słowy, który właśnie przebiegł nam drogę. Osiedla, niesłychanie rzadkie. Miasteczka, całkowicie ujednolicone, podobne kropka w kropkę. Wiesz to zespół pojedynczych farm oddalonych od siebie często parę mil. Trudno się dziwić, jeżeli w Kanadzie na przeszło 9 milionach kilometrów kwadratowych mieszka około 15 milionów ludzi. Dodajmy, że takie miasta jak Montreal, Toronto czy Ottawa same skupiają dobrych parę milionów.

Krajobraz jest tak urzekający, że gdyby nie nasz przemły cicerone, zapomnielibym, iż dawno minęła pora obiadowa.

Stajemy przed jedną z przydrożnych gospód. Menu jest kanadyjskie: napój pomidorowy, hamburger, czyli kotlet w cieście, i milkshakes, ulubiony przysmak pijany przez słomkę: mieszanka lodów, bitej śmietanki i czekolady. Przy każdym stoliku autemat z katalogiem płyt. Po wrzuceniu 15 centów i naciśnięciu odpowiedniego numeru restauracja rozbrzmiewa melodią, jakiej sobie życzymy. Wybieram obecnie najpopularniejszą: „Cherry pink and apple blossom white” — która jest adaptacją ślicznej piosenki francuskiej.

Coca-cola? — Zupełne rozczarowanie. Jest w smaku jak gdyby lodowatym coctalem lemondowym przemieszanej z kawą. Na ubraniu i polityrze pozostawia ślady, dzięki jakimś właściwościom żrącym. Osobiście, po kilku nieudanych próbach z colą, przerzuciłem się na „orange juice”.

Napojem również powszechnym jak coca-cola jest lemoniada „Seven up”, co — jak mnie informowano — ma znaczenie, że po wypiciu odbija się 7 razy. Bujda.

Nie dojeżdżając do Toronto zatrzymujemy się w motelu z TV. Motel, to campingowy dom noclegowy, TV — telewizja. Po rytualnej danieli, wynoszącej zdaje się 30 centów, wybieram jedną z ósmiu stacji. Siedem nadaje filmy cowboyskie, jedna — skomplikowana opowieść filmowa o lekarzu, który otrul żonę. Decydujemy się na film cowboyski, bawiac się jak dzieci przepowiadaniem na głos dalszego rozwoju galopującej akcji. W momencie gdy szlachetny szeryf znokautował pierwszego ze zbirów, telewizor gaśnie. Ach prawda, minęło już pół godziny, trzeba ponownie automat zasilić centami. Jak prorokowałem, szeryf nie tylko uratował dziewczynę, ale także poślubił ją. Odjeżdżają cwałem, bodąc niemilosłownie ostrogami, najmniej przecież winnego w tej awanturze, mustanga.

Jest północ. Pokój motelu wypełnia majestatyczne dźwięki „God save the Queen”. Królowa Elżbieta w stroju amazonki obserwuje z siódma musztrę gwardzistów w imponujących niedźwiedziej czapach. Sympatyczna młoda kobieta obnaża śnieżne zęby i długimi rzesami oślania oczy przed blaskiem natarczywych reflektorów. Trzask... i na ekranie pląsają rozwichrzone niteczki fal. Dobrej nocy, Jarek.

#### Z PRZYJACIÓŁMI

PRZED niebotycznym „Royal Hotel” w Toronto, gdzie było umówione spotkanie, staliśmy kilkanaście minut naprzeciw siebie — śmiejąc się i gestykulując. Trójka naszych młodych gospodarzy i opiekundów nie bardzo wiedziała, czy powinniśmy najpierw się spać, czy trzeba nas nakarmić. Najciekawsze zamieszanie sprawiała Jenny Jadowska, która mając dziesiątkę urodzonego w Polsce, była predestynowana na tłumacza Jenny co parę sekund wolała „O!” i znów to samo od początku. Drżałem, że jest to jedyny polski wyraz, jaki Jenny zna, ale na szczęście umiała ich znacznie więcej, tak, że po dwóch dniach trwania Festiwalu porozumiewaliśmy się w tym języku znakomicie.

Zwalisty ex-marynarz Bill miał w sobie coś z pana Longina Podbięty — zarówno pod względem opiekuńczej troski, którą nas otaczał, jak i wyglądu. Ponieważ rzecz dzieła się w XX wieku, nie zrezygnowaliśmy z dopatrywania się tej analogii, mimo że Billa nie cechowała pana Longinowa nieśmiałość wobec kobiet ani wasy. Liczyłem na ukraińskich rodziców Billa (Wasyła), którzy przybyli tu spod Czerniowca. Ale Wasył znał tylko jeden zwrot: „Znajesz? Win buh...”

Tu następowało gwałtowne zacięcie się, pomrukiwanie i chyba jakieś bardzo soczyste angielskie słowo, urągające własnej lingwistycznej nieporadności. Sytuację ratowała najmilsza Libby, redaktorka młodzieżowego tygodnika „Champion”. Choć Kanada jest oficjalnie dwujęzyczna i uczenie się angielskiego oraz francuskiego obowiązują w szkołach

— A obecnie gdzie Pan mieszka z rodziną? Wynajmujemy izbę.

— W tym kręgu nie ma niezamieszanych. Festiwal odbywany pod hasłem: „O Wielką Kanadę”, gromadził różnorodnych patriotów jednej wspólnej ojczyzny. Wprawdzie ogólny entuzjazm otacza syna starego Kobylańskiego — Karola, który z Bukaresztu pojechał do Kijowa na studia, jednak wszyscy wiedzą, że Karol wróci, że by jeszcze skuteczniej pracować razem z nim dla Kanady. Dla kraju, który raz nazwany ojczystym nakazuje dzielić z sobą każdy los.

— Wiesz — zwierza się Aleks. — Mojego brata obrano delegatem do Warszawy. Tak się cieszył, a dzisiejszego wieczoru, kiedy wy jesteście wśród nas, byłby chyba wniebowzięty.

Alek ma spracowane dłonie i szarą, wycieńczoną twarz. Jest w moim wieku, choć przypisywałemu w pierwszej chwili jakieś 45 lat.

Dzisiaj jest piątek, we wtorek umarł brat Aleka.

— Nie potrafiłem mu pomóc, rozumiesz? — tłumaczył mi, że tam raty nie spłacił w terminie.

— A obecnie gdzie Pan mieszka z rodziną? Wynajmujemy izbę.

— W tym kręgu nie ma niezamieszanych. Festiwal odbywany pod hasłem: „O Wielką Kanadę”, gromadził różnorodnych patriotów jednej wspólnej ojczyzny. Wprawdzie ogólny entuzjazm otacza syna starego Kobylańskiego — Karola, który z Bukaresztu pojechał do Kijowa na studia, jednak wszyscy wiedzą, że Karol wróci, że by jeszcze skuteczniej pracować razem z nim dla Kanady. Dla kraju, który raz nazwany ojczystym nakazuje dzielić z sobą każdy los.

— Wiesz — zwierza się Aleks. — Mojego brata obrano delegatem do Warszawy. Tak się cieszył, a dzisiejszego wieczoru, kiedy wy jesteście wśród nas, byłby chyba wniebowzięty.

Alek ma spracowane dłonie i szarą, wycieńczoną twarz. Jest w moim wieku, choć przypisywałemu w pierwszej chwili jakieś 45 lat.

Dzisiaj jest piątek, we wtorek umarł brat Aleka.

— Nie potrafiłem mu pomóc, rozumiesz? — tłumaczył mi, że tam raty nie spłacił w terminie.

— A obecnie gdzie Pan mieszka z rodziną? Wynajmujemy izbę.

— W tym kręgu nie ma niezamieszanych. Festiwal odbywany pod hasłem: „O Wielką Kanadę”, gromadził różnorodnych patriotów jednej wspólnej ojczyzny. Wprawdzie ogólny entuzjazm otacza syna starego Kobylańskiego — Karola, który z Bukaresztu pojechał do Kijowa na studia, jednak wszyscy wiedzą, że Karol wróci, że by jeszcze skuteczniej pracować razem z nim dla Kanady. Dla kraju, który raz nazwany ojczystym nakazuje dzielić z sobą każdy los.

— Wiesz — zwierza się Aleks. — Mojego brata obrano delegatem do Warszawy. Tak się cieszył, a dzisiejszego wieczoru, kiedy wy jesteście wśród nas, byłby chyba wniebowzięty.

Alek ma spracowane dłonie i szarą, wycieńczoną twarz. Jest w moim wieku, choć przypisywałemu w pierwszej chwili jakieś 45 lat.

Dzisiaj jest piątek, we wtorek umarł brat Aleka.

— Nie potrafiłem mu pomóc, rozumiesz? — tłumaczył mi, że tam raty nie spłacił w terminie.

— A obecnie gdzie Pan mieszka z rodziną? Wynajmujemy izbę.

— W tym kręgu nie ma niezamieszanych. Festiwal odbywany pod hasłem: „O Wielką Kanadę”, gromadził różnorodnych patriotów jednej wspólnej ojczyzny. Wprawdzie ogólny entuzjazm otacza syna starego Kobylańskiego — Karola, który z Bukaresztu pojechał do Kijowa na studia, jednak wszyscy wiedzą, że Karol wróci, że by jeszcze skuteczniej pracować razem z nim dla Kanady. Dla kraju, który raz nazwany ojczystym nakazuje dzielić z sobą każdy los.

— Wiesz — zwierza się Aleks. — Mojego brata obrano delegatem do Warszawy. Tak się cieszył, a dzisiejszego wieczoru, kiedy wy jesteście wśród nas, byłby chyba wniebowzięty.

Alek ma spracowane dłonie i szarą, wycieńczoną twarz. Jest w moim wieku, choć przypisywałemu w pierwszej chwili jakieś 45 lat.

Dzisiaj jest piątek, we wtorek umarł brat Aleka.

— Nie potrafiłem mu pomóc, rozumiesz? — tłumaczył mi, że tam raty nie spłacił w terminie.

— A obecnie gdzie Pan mieszka z rodziną? Wynajmujemy izbę.

— W tym kręgu nie ma niezamieszanych. Festiwal odbywany pod hasłem: „O Wielką Kanadę”, gromadził różnorodnych patriotów jednej wspólnej ojczyzny. Wprawdzie ogólny entuzjazm otacza syna starego Kobylańskiego — Karola, który z Bukaresztu pojechał do Kijowa na studia, jednak wszyscy wiedzą, że Karol wróci, że by jeszcze skuteczniej pracować razem z nim dla Kanady. Dla kraju, który raz nazwany ojczystym nakazuje dzielić z sobą każdy los.

— Wiesz — zwierza się Aleks. — Mojego brata obrano delegatem do Warszawy. Tak się cieszył, a dzisiejszego wieczoru, kiedy wy jesteście wśród nas, byłby chyba wniebowzięty.

Alek ma spracowane dłonie i szarą, wycieńczoną twarz. Jest w moim wieku, choć przypisywałemu w pierwszej chwili jakieś 45 lat.

Dzisiaj jest piątek, we wtorek umarł brat Aleka.

— Nie potrafiłem mu pomóc, rozumiesz? — tłumaczył mi, że tam raty nie spłacił w terminie.

— A obecnie gdzie Pan mieszka z rodziną? Wynajmujemy izbę.

— W tym kręgu nie ma niezamieszanych. Festiwal odbywany pod hasłem: „O Wielką Kanadę”, gromadził różnorodnych patriotów jednej wspólnej ojczyzny. Wprawdzie ogólny entuzjazm otacza syna starego Kobylańskiego — Karola, który z Bukaresztu pojechał do Kijowa na studia, jednak wszyscy wiedzą, że Karol wróci, że by jeszcze skuteczniej pracować razem z nim dla Kanady. Dla kraju, który raz nazwany ojczystym nakazuje dzielić z sobą każdy los.

— Wiesz — zwierza się Aleks. — Mojego brata obrano delegatem do Warszawy. Tak się cieszył, a dzisiejszego wieczoru, kiedy wy jesteście wśród nas, byłby chyba wniebowzięty.

Alek ma spracowane dłonie i szarą, wycieńczoną twarz. Jest w moim wieku, choć przypisywałemu w pierwszej chwili jakieś 45 lat.

Dzisiaj jest piątek, we wtorek umarł brat Aleka.

— Nie potrafiłem mu pomóc, rozumiesz? — tłumaczył mi, że tam raty nie spłacił w terminie.

— A obecnie gdzie Pan mieszka z rodziną? Wynajmujemy izbę.

— W tym kręgu nie ma niezamieszanych. Festiwal odbywany pod hasłem: „O Wielką Kanadę”, gromadził różnorodnych patriotów jednej wspólnej ojczyzny. Wprawdzie ogólny entuzjazm otacza syna starego Kobylańskiego — Karola, który z Bukaresztu pojechał do Kijowa na studia, jednak wszyscy wiedzą, że Karol wróci, że by jeszcze skuteczniej pracować razem z nim dla Kanady. Dla kraju, który raz nazwany ojczystym nakazuje dzielić z sobą każdy los.

— Wiesz — zwierza się Aleks. — Mojego brata obrano delegatem do Warszawy. Tak się cieszył, a dzisiejszego wieczoru, kiedy wy jesteście wśród nas, byłby chyba wniebowzięty.

Alek ma spracowane dłonie i szarą, wycieńczoną twarz. Jest w moim wieku, choć przypisywałemu w pierwszej chwili jakieś 45 lat.

Dzisiaj jest piątek, we wtorek umarł brat Aleka.

— Nie potrafiłem mu pomóc, rozumiesz? — tłumaczył mi, że tam raty nie spłacił w terminie.

— A obecnie gdzie Pan mieszka z rodziną? Wynajmujemy izbę.

— W tym kręgu nie ma niezamieszanych. Festiwal odbywany pod hasłem: „O Wielką Kanadę”, gromadził różnorodnych patriotów jednej wspólnej ojczyzny. Wprawdzie ogólny entuzjazm otacza syna starego Kobylańskiego — Karola, który z Bukaresztu pojechał do Kijowa na studia, jednak wszyscy wiedzą, że Karol wróci, że by jeszcze skuteczniej pracować razem z nim dla Kanady. Dla kraju, który raz nazwany ojczystym nakazuje dzielić z sobą każdy los.

— Wiesz — zwierza się Aleks. — Mojego brata obrano delegatem do Warszawy. Tak się cieszył, a dzisiejszego wieczoru, kiedy wy jesteście wśród nas, byłby chyba wniebowzięty.

Alek ma spracowane dłonie i szarą, wycieńczoną twarz. Jest w moim wieku, choć przypisywałemu w pierwszej chwili jakieś 45 lat.

Dzisiaj jest piątek, we wtorek umarł brat Aleka.

— Nie potrafiłem mu pomóc, rozumiesz? — tłumaczył mi, że tam raty nie spłacił w terminie.

— A obecnie gdzie Pan mieszka z rodziną? Wynajmujemy izbę.

— W tym kręgu nie ma niezamieszanych. Festiwal odbywany pod hasłem: „O Wielką Kanadę”, gromadził różnorodnych patriotów jednej wspólnej ojczyzny. Wprawdzie ogólny entuzjazm otacza syna starego Kobylańskiego — Karola, który z Bukaresztu pojechał do Kijowa na studia, jednak wszyscy wiedzą, że Karol wróci, że by jeszcze skuteczniej pracować razem z nim dla Kanady. Dla kraju, który raz nazwany ojczystym nakazuje dzielić z sobą każdy los.

— Wiesz — zwierza się Aleks. — Mojego brata obrano delegatem do Warszawy. Tak się cieszył, a dzisiejszego wieczoru, kiedy wy jesteście wśród nas, byłby chyba wniebowzięty.

Alek ma spracowane dłonie i szarą, wycieńczoną twarz. Jest w moim wieku, choć przypisywałemu w pierwszej chwili jakieś 45 lat.

Dzisiaj jest piątek, we wtorek umarł brat Aleka.

— Nie potrafiłem mu pomóc, rozumiesz? — tłumaczył mi, że tam raty nie spłacił w terminie.

— A obecnie gdzie Pan mieszka z rodziną? Wynajmujemy izbę.

— W tym kręgu nie ma niezamieszanych. Festiwal odbywany pod hasłem: „O Wielką Kanadę”, gromadził różnorodnych patriotów jednej wspólnej ojczyzny. Wprawdzie ogólny entuzjazm otacza syna starego Kobylańskiego — Karola, który z Bukaresztu pojechał do Kijowa na studia, jednak wszyscy wiedzą, że Karol wróci, że by jeszcze skuteczniej pracować razem z nim dla Kanady. Dla kraju, który raz nazwany ojczystym nakazuje dzielić z sobą każdy los.

— Wiesz — zwierza się Aleks. — Mojego brata obrano delegatem do Warszawy. Tak się cieszył, a dzisiejszego wieczoru, kiedy wy jesteście wśród nas, byłby chyba wniebowzięty.

Alek ma spracowane dłonie i szarą, wycieńczoną twarz. Jest w moim wieku, choć przypisywałemu w pierwszej chwili jakieś 45 lat.

Dzisiaj jest piątek, we wtorek umarł brat Aleka.

— Nie potrafiłem mu pomóc, rozumiesz? — tłumaczył mi, że tam raty nie spłacił w terminie.

— A obecnie gdzie Pan mieszka z rodziną? Wynajmujemy izbę.

— W tym kręgu nie ma niezamieszanych. Festiwal odbywany pod hasłem: „O Wielką Kanadę”, gromadził różnorodnych patriotów jednej wspólnej ojczyzny. Wprawdzie ogólny entuzjazm otacza syna starego Kobylańskiego — Karola, który z Bukaresztu pojechał do Kijowa na studia, jednak wszyscy wiedzą, że Karol wróci, że by jeszcze skuteczniej pracować razem z nim dla Kanady. Dla kraju, który raz nazwany ojczystym nakazuje dzielić z sobą każdy los.

— Wiesz — zwierza się Aleks. — Mojego brata obrano delegatem do Warszawy. Tak się cieszył, a dzisiejszego wieczoru, kiedy wy jesteście wśród nas, byłby chyba wniebowzięty.

Alek ma spracowane dłonie i szarą, wycieńczoną twarz. Jest w moim wieku, choć przypisywałemu w pierwszej chwili jakieś 45 lat.

Dzisiaj jest piątek, we wtorek umarł brat Aleka.

— Nie potrafiłem mu pomóc, rozumiesz? — tłumaczył mi, że tam raty nie spłacił w terminie.

— A obecnie gdzie Pan mieszka z rodziną? Wynajmujemy izbę.

— W tym kręgu nie ma niezamieszanych. Festiwal odbywany pod hasłem: „O Wielką Kanadę”, gromadził różnorodnych patriotów jednej wspólnej ojczyzny. Wprawdzie ogólny entuzjazm otacza syna starego Kobylańskiego — Karola, który z Bukaresztu pojechał do Kijowa na studia, jednak wszyscy wiedzą, że Karol wróci, że by jeszcze skuteczniej pracować razem z nim dla Kanady. Dla kraju, który raz nazwany ojczystym nakazuje dzielić z sobą każdy los.

— Wiesz — zwierza się Aleks. — Mojego brata obrano delegatem do Warszawy. Tak się cieszył, a dzisiejszego wieczoru, kiedy wy jesteście wśród nas, byłby chyba wniebowzięty.

Alek ma spracowane dłonie i szarą, wycieńczoną twarz. Jest w moim wieku, choć przypisywałemu w pierwszej chwili jakieś 45 lat.

Dzisiaj jest piątek, we wtorek umarł brat Aleka.

— Nie potrafiłem mu pomóc, rozumiesz? — tłumaczył mi, że tam raty nie spłacił w terminie.

— A obecnie gdzie Pan mieszka z rodziną? Wynajmujemy izbę.

— W tym kręgu nie ma niezamieszanych. Festiwal odbywany pod hasłem: „O Wielką Kanadę”, gromadził różnorodnych patriotów jednej wspólnej ojczyzny. Wprawdzie ogólny entuzjazm otacza syna starego Kobylańskiego — Karola, który z Bukaresztu pojechał do Kijowa na studia, jednak wszyscy wiedzą, że Karol wróci, że by jeszcze skuteczniej pracować razem z nim dla Kanady. Dla kraju, który raz nazwany ojczystym nakazuje dzielić z sobą każdy los.

— Wiesz — zwierza się Aleks. — Mojego brata obrano delegatem do Warszawy. Tak się cieszył, a dzisiejszego wieczoru, kiedy wy jesteście wśród nas, byłby chyba wniebowzięty.

Alek ma spracowane dłonie i szarą, wycieńczoną twarz. Jest w moim wieku, choć przypisywałemu w pierwszej chwili jakieś 45 lat.

Dzisiaj jest piątek, we wtorek umarł brat Aleka.

— Nie potrafiłem mu pomóc, rozumiesz? — tłumaczył mi, że tam raty nie spłacił w terminie.

— A obecnie gdzie Pan mieszka z rodziną? Wynajmujemy izbę.

— W tym kręgu nie ma niezamieszanych. Festiwal odbywany pod hasłem: „O Wielką Kanadę”, gromadził różnorodnych patriotów jednej wspólnej ojczyzny. Wprawdzie ogólny entuzjazm otacza syna starego Kobylańskiego — Karola, który z Bukaresztu pojechał do Kijowa na studia, jednak wszyscy wiedzą, że Karol wróci, że by jeszcze skuteczniej pracować razem z nim dla Kanady. Dla kraju, który raz nazwany ojczystym nakazuje dzielić z sobą każdy los.

— Wiesz — zwierza się Aleks. — Mojego brata obrano delegatem do Warszawy. Tak się cieszył, a dzisiejszego wieczoru, kiedy wy jesteście wśród nas, byłby chyba wniebowzięty.

Alek ma spracowane dłonie i szarą, wycieńczoną twarz. Jest w moim wieku, choć przypisywałemu w pierwszej chwili jakieś 45 lat.

Dzisiaj jest piątek, we wtorek umarł brat Aleka.

— Nie potrafiłem mu pomóc, rozumiesz? — tłumaczył mi, że tam raty nie spłacił w terminie.

— A obecnie gdzie Pan mieszka z rodziną? Wynajmujemy izbę.

— W tym kręgu nie ma niezamieszanych. Festiwal odbywany pod hasłem: „O Wielką Kanadę”, gromadził różnorodnych patriotów jednej wspólnej ojczyzny. Wprawdzie ogólny entuzjazm otacza syna starego Kobylańskiego — Karola, który z Bukaresztu pojechał do Kijowa na studia, jednak wszyscy wiedzą, że Karol wróci, że by jeszcze skuteczniej pracować razem z nim dla Kanady. Dla kraju, który raz nazwany ojczystym nakazuje dzielić z sobą każdy los.

— Wiesz — zwierza się Aleks. — Mojego brata obrano delegatem do Warszawy. Tak się cieszył, a dzisiejszego wieczoru, kiedy wy jesteście wśród nas, byłby chyba wniebowzięty.

Alek ma spracowane dłonie i szarą, wycieńczoną twarz. Jest w moim wieku, choć przypisywałemu w pierwszej chwili jakieś 45 lat.

Dzisiaj jest piątek, we wtorek umarł brat Aleka.

— Nie potrafiłem mu pomóc, rozumiesz? — tłumaczył mi, że tam raty nie spłacił w terminie.

— A obecnie gdzie Pan mieszka z rodziną? Wynajmujemy izbę.

— W tym kręgu nie ma niezamieszanych. Festiwal odbywany pod hasłem: „O Wielką Kanadę”, gromadził różnorodnych patriotów jednej wspólnej ojczyzny. Wprawdzie ogólny entuzjazm otacza syna starego Kobylańskiego — Karola, który z Bukaresztu pojechał do Kijowa na studia, jednak wszyscy wiedzą, że Karol wróci, że by jeszcze skuteczniej pracować razem z nim dla Kanady. Dla kraju, który raz nazwany ojczystym nakazuje dzielić z sobą każdy los.

— Wiesz — zwierza się Aleks. — Mojego brata obrano delegatem do Warszawy. Tak się cieszył, a dzisiejszego wieczoru, kiedy wy jesteście wśród nas, byłby chyba wniebowzięty.

Alek ma spracowane dłonie i szarą, wycieńczoną twarz. Jest w moim wieku, choć przypisywałemu w pierwszej chwili jakieś 45 lat.

Dzisiaj jest piątek, we wtorek umarł brat Aleka.

— Nie potrafiłem mu pomóc, rozumiesz? — tłumaczył mi, że tam raty nie spłacił w terminie.

— A obecnie gdzie Pan mieszka z rodziną? Wynajmujemy izbę.

Wzrok iskrzący się pod nawisem krzaczastych brwi świadczył o całym młodzieńczej zawziętości.

#### OGNISKA

DRWNIANY budynek przeznaczony na świetlicę oblepiono plakatami o Festiwalu Warszawskim, gazetkami świątecznymi i wykresami, ilustrującymi najważniejsze fakty z życia ekonomicznego Kanady. Wśród budowniczych świetlicy znajduje się wielu Ukraińców z Bugu. Wywedrowali stamtąd w latach 1922—1928. Kolejne ich losy nie zawsze były słone, ale mówią już o dolarach. Petelko z Zabawy przejechał tutaj młodym mężczyzną, teraz ma lat sześćdziesiąt, ale jeszcze się nie ożenił. Wyszony na wiórek Dmytruk z Płowego, wykwalifikowany majster budowlany zbierał trochę pieniędzy i kupił dom na raty. W okresie zastoju nie otrzymał pracy, na którą liczył i jakieś tam raty nie spłacił w terminie.

— A obecnie gdzie Pan mieszka z rodziną? Wynajmujemy izbę.

— W tym kręgu nie ma niezamieszanych. Festiwal odbywany pod hasłem: „O Wielką Kanadę”, gromadził różnorodnych patriotów jednej wspólnej ojczyzny. Wprawdzie ogólny entuzjazm otacza syna starego Kobylańskiego — Karola, który z Bukaresztu pojechał do Kijowa na studia, jednak wszyscy wiedzą, że Karol wróci, że by jeszcze skuteczniej pracować razem z nim dla Kanady. Dla kraju, który raz nazwany ojczystym nakazuje dzielić z sobą każdy los.

— Wiesz — zwierza się Aleks. — Mojego brata obrano delegatem do Warszawy. Tak się cieszył, a dzisiejszego wieczoru, kiedy wy jesteście wśród nas, byłby chyba wniebowzięty.

Alek ma spracowane dłonie i szarą, wycieńczoną twarz. Jest w moim wieku, choć przypisywałemu w pierwszej chwili jakieś 45 lat.

Dzisiaj jest piątek, we wtorek umarł brat Aleka.

— Nie potrafiłem mu pomóc, rozumiesz? — tłumaczył mi, że tam raty nie spłacił w terminie.

— A obecnie gdzie Pan mieszka z rodziną? Wynajmujemy izbę.

— W tym kręgu nie ma niezamieszanych. Festiwal odbywany pod hasłem: „O Wielką Kanadę”, gromadził różnorodnych patriotów jednej wspólnej ojczyzny. Wprawdzie ogólny entuzjazm otacza syna starego Kobylańskiego — Karola, który z Bukaresztu pojechał do Kijowa na studia, jednak wszyscy wiedzą, że Karol wróci, że by jeszcze skuteczniej pracować razem z nim dla Kanady. Dla kraju, który raz nazwany ojczystym nakazuje dzielić z sobą każdy los.

— Wiesz — zwierza się Aleks. — Mojego brata obrano delegatem do Warszawy. Tak się cieszył, a dzisiejszego wieczoru, kiedy wy jesteście wśród nas, byłby chyba wniebowzięty.

Alek ma spracowane dłonie i szarą, wycieńczoną twarz. Jest w moim wieku, choć przypisywałemu w pierwszej chwili jakieś 45 lat.

Dzisiaj jest piątek, we wtorek umarł brat Aleka.

— Nie potrafiłem mu pomóc, rozumiesz? — tłumaczył mi, że tam raty nie spłacił w terminie.

— A obecnie gdzie Pan mieszka z rodziną? Wynajmujemy izbę.

— W tym kręgu nie ma niezamieszanych. Festiwal odbywany pod hasłem: „O Wielką Kanadę”, gromadził różnorodnych patriotów jednej wspólnej ojczyzny. Wprawdzie ogólny entuzjazm otacza syna starego Kobylańskiego — Karola, który z Bukaresztu pojechał do Kijowa na studia, jednak wszyscy wiedzą, że Karol wróci, że by jeszcze skuteczniej pracować razem z nim dla Kanady. Dla kraju, który raz nazwany ojczystym nakazuje dzielić z sobą każdy los.

— Wiesz — zwierza się Aleks. — Mojego brata obrano delegatem do Warszawy. Tak się cieszył, a dzisiejszego wieczoru, kiedy wy jesteście wśród nas, byłby chyba wniebowzięty.

Alek ma spracowane dłonie i szarą, wycieńczoną twarz. Jest w moim wieku, choć przypisywałemu w pierwszej chwili jakieś 45 lat.

Dzisiaj jest piątek, we wtorek umarł brat Aleka.

— Nie potrafiłem mu pomóc, rozumiesz? — tłumaczył mi, że tam raty nie spłacił w terminie.

— A obecnie gdzie Pan mieszka z rodziną? Wynajmujemy izbę.

— W tym kręgu nie ma niezamieszanych. Festiwal odbywany pod hasłem: „O Wielką Kanadę”, gromadził różnorodnych patriotów jednej wspólnej ojczyzny. Wprawdzie ogólny entuzjazm otacza syna starego Kobylańskiego — Karola, który z Bukaresztu pojechał do Kijowa na studia, jednak wszyscy wiedzą, że Karol wróci, że by jeszcze skuteczniej pracować razem z nim dla Kanady. Dla kraju, który raz nazwany ojczystym nakazuje dzielić z sobą każdy los.

— Wiesz — zwierza się Aleks. — Mojego brata obrano delegatem do Warszawy. Tak się cieszył, a dzisiejszego wieczoru, kiedy wy jesteście wśród nas, byłby chyba wniebowzięty.

Alek ma spracowane dłonie i szarą, wycieńczoną twarz. Jest w moim wieku, choć przypisywałemu w pierwszej chwili jakieś 45 lat.

Dzisiaj jest piątek, we wtorek umarł brat Aleka.

— Nie potrafiłem mu pomóc, rozumiesz? — tłumaczył mi, że tam raty nie spłacił w terminie.

— A obecnie gdzie Pan mieszka z rodziną? Wynajmujemy izbę.



# MARIA,

W rzeczywistości jednak zdarzają się dusze, które na tym świecie do kontemplacji nie dochodzą, choć nie ma w tym żadnej winy z ich strony.<sup>11</sup>

Dlaczego?

Dlatego, że „kontemplacja nie jest sama przez się świętością, lecz jednym z bardzo skutecznych środków dojścia do niej; świętość zaś sama polega na miłości, oraz na ścisłym i stałym zjednoczeniu z Bogiem. Otoż kontemplacja jest rzeczywistością samą w sobie skróconą drogą prowadzącą do tego zjednoczenia, lecz nie jest to droga jedyna, gdyż bywają także niekontemplatywne, które mogły poczynić większe postępy w nocie i w prawdziwej miłości, niż inne, które rychlej kontemplację włąną otrzymały.“<sup>12</sup>

Tym bardziej i zjawiska mistyczne, towarzyszące kontemplacji, jak np. zawieszenie czynności zmysłów, zwane ekstazą (z którego jednak osoba mu podlegająca może na rozkaz ustny się zbudzić), nie są same w sobie miarą doskonałości i świętości.

„Kiedy... zobaczymy — powiada św. Franciszek Salezy — że jakaś osoba ma na modlitwie ekstazy... a mimo to nie posiada ekstazy życia, czyli nie prowadzi życia podniosłego i zjednoczonego z Bogiem przez zaparcie, umartwienie chęci i skłonności przyrodzonych, przez wewnętrzną słodycz, prostotę, pokorę, a zwłaszcza przez ciągłą miłość — wierząc mi, Teotymie, że wszystkie jej zachwyty są doprawdy bardzo wątpliwe i niebezpieczne.“<sup>13</sup>

Nawet na wyższych modlitwy sam fakt ich osiągnięcia nie zabezpiecza całkowicie dusz kontemplacyjnych od grzechów, błędów i pokus, św. Jan od Krzyża w *Nocy ciemnej* wskazuje na istnienie duchowej nieczystości, łakomstwa, obzarstwa, lenistwa, zazdrości i przestrzegania przed przywiązaniem się do pewnego rodzaju modlitw, praktyk pobożnych, nabożeństw, miejsc modlitwy, dewocjonalów, nie mówiąc już o pysze i braku miłości, na temat których w *Przestrożkach duchownych* powiada: „Kto w sobie tylko ufność pokłada, gorszy jest niż szatan.“<sup>14</sup> Sw. Katarzyna ze Sienu Pan Bóg oświadczył: „Duchowa miłość własna przynosi niekiedy duszy większą szkodę, gdy dusza przywiązuje się jedynie do pociech wewnętrznych i widzeń, którymi wyróżziam niekiedy sługi moje.“<sup>15</sup>

Sw. Teresa od Jezusa, wielki przyjaciel św. Jana od Krzyża, kobieta swańiala i zadziwiająca, z właściwą sobie swobodą i szczerością pisze:

„Śmiech mnie nieraz bierze na widok pewnych dusz, które w czasie modlitwy wyobrażają sobie, że pragną upokorzenia i publicznego spowiadania dla miłości Boga, a potem wkręcają się, jak mogą, aby nie przysiąc się do małego jakiegos uchybienia; a jeśli jeszcze takiej zarzucisz jaką winę, której w istocie nie popełniła, to już taki podniesie lament, że nie daj Boże!“<sup>16</sup>

Dalej zaś:

„Gdy znowu widzę inne dusze, tak zaciętrzewione w przedmiocie rozmyślania swego i tak skrepowane na modlitwie, iż nie śmieją, rzekłbyś, i poruszyć się, ani myśli na chwilę odwrócić, by snadź nie uromiło się co z tej odrobiny uczuć pobożnych i smaków duchowych, które im na modlitwie przyszły, myślę sobie, że są to dusze, nie mające jeszcze ani pojęcia o prawdziwej drodze, którą się dochodzi do zjednoczenia, kiedy tak na własnych pociechach i słodkościach zasadzają całe nabożeństwo swoje. Nie tędy droga, siostry, nie tędy!“<sup>17</sup>

Pisząc o niewłaściwym rozumieniu kontemplacji przez tych, którzy jej nie uprawiają, św. Teresa mówi:

„Jeśli ktoś zajdzie tak daleko, że spędza codziennie krótki czas na rozmyślaniu o swoich grzechach, jak to robić jest obowiązany, jeśli jest chrześcijaninem trochę więcej niż z imienia, ludzie od razu nazywają go wielkim kontemplatykiem, a potem spodziewają się, że posiada rzadkie cnoty, które wielki kontemplatyk musi posiadać. On sam nawet może myśleć, że je ma, ale będzie cakiem w błędzie.“<sup>18</sup>

Skąd wynikają te wszystkie nieporozumienia, trudności i zasadzki w tak, zdawałoby się, wzniosłej dziedzinie ludzkiego ducha jak modlitwa? Czy nie ma jakiegos zabezpieczenia przeciw tak liczny upadkom świątobliwej, zdawałoby się, Marli?

Przyczyną niebezpieczeństw życia kontemplacyjnego jest niewspółmierność skończoności natury ludzkiej i natury nieskończonego Boga. „Boga nikt nigdy nie widział, Syn jednorodzony, który jest na łonie Ojca, ten nam odpowiedział“ (Jan I, 18). Człowiek nie poznaje Boga bezpośrednio. „Wszystkie czy stworzone — mówi św. Jan od Krzyża — nie mogą się równać z bytem Bożym, zatem wszystko, co sobie można wyobrazić na ich podobieństwo, nie może być środkiem właściwym do zjednoczenia z Bogiem. Przeciwnie, jest tylko przeszkodą.“<sup>19</sup> Dalej zaś powiada: „Wiele dusz postępuje tu błędną drogą. Pragną bowiem zbliżyć się do Boga przez wyobrażenia, formy i rozważania, które są stosowne dla początkujących,“<sup>20</sup> podczas gdy na tych wyżynach „dusza powinna dążyć do Boga, poznając Go raczej przez to, czym On nie jest, aniżeli przez to, czym jest. Tym samym więc musi odrzucać całkowicie wszystko, co może pojawiać się sposobem naturalnym czy nadprzyrodzonym.“<sup>21</sup> Poznaje Go zaś przez kształtowanie wiary, nadziei i miłości swoich wiaź duchowych i psychicznych tak, że to, co z natury jest w niej podobne do Boga, uwalnia się od tego, co jest do Niego niepodobne. „To poznanie ogólne, o którym mówimy — wyjaśnia św. Jan — jest często tak subtelne i delikatne, zwłaszcza gdy jest czystsze i prostsze, doskonalsze, bardziej duchowe i wewnętrzne, że dusza, mimo że jest w nim czynna, nie spostrzeże go ani odczuwa. Najczęściej spotyka się to wówczas, gdy jest ono jasniejsze, prostsze i doskonalsze, i gdy przenika duszę czystsza i bardziej oddaloną od pojęć i wiadomości szczegółowych, które by mogły zajmować umysł lub zmysły. W tym poznaniu nie ma już żadnej zmysłowości. I to jest przyczyna, dla której to poznanie w miarę jak staje się czystsze, doskonalsze i prostsze, rozum mniej je odczuwa i wydaje mu się ono ciemne.“<sup>22</sup>

Gdy człowiek obcy życiu kontemplacyjnemu czyta te słowa, łatwo wśliznąć się w jego umysł podejrzeniu, że całe to życie jest jednym wielkim złudzeniem. Aie Kościół naucza, że kto chce być zbawiony, musi się modlić, gdyż tylko przez zwrócenie się do Boga otrzymujemy łaskę uczynkową, która „do zbawienia jest konieczną potrzebna“. „Maria najlepszą częścią obrata, która od niej nie będzie odjęta.“<sup>23</sup> Wzywając do modlitwy i zachęcając do życia kontemplacyjnego, Kościół czyni to śmiało i ufnie. Posiada bowiem sprawdzian istotnej wartości tego życia. Sprawdzian niezawodny, obiektywny, jawny i dostępny nawet dla niewierzących. Tym sprawdzianem jest życie czynne, pogardzana często przez niezrozumienie tekstu ewangelicznego, Maria. „Pocytam cię za duszę prawdziwie kontemplacyjną, jeśli przede wszystkim czyni twoje okazać się doskonałe“ — pisał już Orygenes.<sup>24</sup>

„Ktokolwiek pragnie zdobyć twierdzą kontemplacji — mówi św. Grzegorz Wielki, papież — niechaj najpierw wypróbuje siebie doskonałe w pracach życia czynnego, bo potrzeba mu dokładnie się dowiedzieć, czy nie sprawia przykrości bliźniemu, czy z pokojem duszy przyjmuje przykrości, jakie mu wyrządzają inni; czy dobra doczesne, jakie otrzymuje, nie uprawiają go w zbytnej radości, a ich utrata nie pograża w smutek bez miary. A potem, gdy znów wejdzie w siebie, by oddać się sprawom ducha, niech zapyta siebie, czy nie niesie za sobą cienia i obrazu rzeczy zmysłowych, a jeśli tak, to czy potrafi opratną ręką oddalić je od siebie i usunąć.“<sup>25</sup>

„Nie ten jest mi bardzo miły — oznajmił Bóg św. Katarzynie ze Sienu — który tylko wola do mnie głosem swoim: „Panie, Panie, chciałbym uczynić coś dla Ciebie“, ani ten, który chce dla mnie umartwiać ciało swoje licznymi pokutami, lecz nie wyrzeka się własnej woli. Jam jest Ten, co lubi mało słów a dużo czynków... Ja, który jestem nieskończony, żądam czynów nieskończonych, to jest nieskończonej miłości.“<sup>26</sup>

„Czynów nieskończonych, to jest nieskończonej miłości...“ To równanie między miłością i czynem nie jest przypadkowe. „Trwajcie w miłości mojej — powiedział Chrystus Pan w przeddzień swojej męki — Jeśli przykazanie moje zachowacie, wytrwacie w miłości mojej.“ (Jan XV, 9-10). Sw. Jakub zaś w liście apostołskim grozi: „Tego, który nie czyni miłosciardza, spotka sąd bez miłosciardza... Cóż pomoże, bracia moi, jeśli by kto mówił, że ma wiarę, ale czynków by nie miał? Czyż wiara mogłaby go zbawić? I jeśli by brat i siostra nie mieli ubrania i potrzebowali codziennej żywności, a ktoś powiedziałby im: Idźcie w pokój, ogrzejcie się i nasyciecie — a nie dalszyście im tego, czego ciało ich potrzebuje, cóżby to pomogło?“ (Jak. II, 13-16). Dla takich, choćby wolał: „Panie, Panie, Najwyższy Sędzia będzie miał tylko ten wyrok: „Idźcie przeklećci, w ogień wieczny!“ (Mat. XXV, 31-46).

Tak jak Bóg-Człowiek jest jedynym najwyższym wzorem doskonałości, tak czynna miłość Boga i bliźniego jest jedynym wypełnieniem Jego prawa i jedyną podstawą prawdziwego życia wewnętrznego.

ANDRZEJ PIOTROWSKI

## Odjazd Matki Boskiej

(legenda meksykańska)

Chłopcy w kapeluszach ze słomy  
wznoszą gałązki agawy  
Orizaba w białej komży  
trybularz z grzywą lawy

Poplątały wstążki i struny  
gitary i śpiew nagle zamilkł  
w nieczesanych kędziarach aniołków  
odezwały się ptaków chóry

Maryja pani kaktusów  
Panna w szkarłatnym poncho  
odjeżdża na białym osiołku  
do nieba po stromym zboczcu



rys. Gabriel Rehowicz

C O roku słyszymy z ambony, że „Maria najlepszą częścią obrata, która od niej nie będzie odjęta“, gdyż „jednej tylko potrzeba“ rzeczy. Pamiętamy, że wyrzut Marty: „Siostra moja zostawia mię, abym sama postugiwała“ spotkał się z łagodną naganą jej Gościa. Ta nagana zamyka epizod ewangeliczny i wydaje się nam, że Maria w dalszym ciągu, siedząc u stóp Pana, słucha słów Jego, Marta zaś krząta się koło różnych posług. Mało zastanawiamy się nad tym, że używając przy pochwaleniu Marii słów „najlepsza częścią“, Zbawiciel daje nam do zrozumienia, że to, co robiła Marta, było rzeczą dobrą; że mówiąc o jednej rzeczy koniecznej — *unum necessarium* — nie potępiał innych. Chciał tylko, żeby o niej nie zapominać, żeby w Jego obecności nie troskać się i nie kłopotać. Chciał ustalić hierarchię wartości.

W tradycji chrześcijańskiej Maria i Marta uchodzą za typy życia kontemplacyjnego i życia czynnego, te zaś rodzaje życia utożsamia się niekiedy z życiem zakonnym i życiem świeckim. Ostatnim stopniem spłytenia w pojmowaniu Ewangelii jest robienie z Marii istoty, która nie nie robi, tylko się modli, z Marty zaś osoby, która jest tak czynna, że zapomniała o istnieniu Boga i nie ma czasu na modlitwę.

Mamy tu do czynienia z całym spletem nieporozumień i błędnych wyobrażeń, który trzeba rozwiązać i wyprostować w jeden prosty wątek prawdy.

Najpierw powiedzmy sobie, że ani Marta, ani Maria nie są najwyższym wzorem życia chrześcijańskiego. Jest nim Jezus Chrystus. Tylko w Nim istnieje pełnia życia chrześcijańskiego. Tylko On jest Doskonałością. Tylko Jego mamy obowiązek naśladować. U Niego zaś — wskazuje to w wielu miejscach Ewangelia — modlitwa w samotności i publiczna działalność stale przeplatały się. Celem ich było uwielbienie Ojca i zbawienie ludzkości. Trzecią — wszechobejmującą miłość. Dzięki zaś zjednoczeniu w sobie natury ludzkiej z Boską, Chrystus Pan nigdy nie przestawał obcować wewnętrznie z Ojcem. Każda Jego modlitwa była najdoskonalszym czynem, każdy czyn najdoskonalszą modlitwą.

Ten właśnie zawrotny wysoki wzór stawia przed nami Pismo święte. O. Ad. Tanquerey pisząc w *Zarysie teologii ascetycznej i mistycznej* o Obowiązku dążenia do doskonałości, mówi, że Ewangelia „tak... silny nacisk kładzie na potrzebę świętości, która przystoi chrześcijanom, taki nam przed oczy stawia ideał doskonałości, tak wyraźnie wszystkim bez wyjątku głosi potrzebę wyrzeczenia się i miłości, jako istotnych pierwiastków doskonałości, iż każdy umysł bezstronny dochodzi do przekonania, że chcąc zbawić duszę, potrzeba w pewnych chwilach życia czynić coś więcej ponad to, co ściśle jest nakazane, a tym samym starać się o postęp w życiu duchowym“. Nie można bowiem „zostawić czas dłuższy w stanie łaski, nie usiłując czynić postępów w życiu duchowym i nie spełniając od czasu do czasu niektórych rad ewangelicznych.“<sup>1</sup>

Istnieje więc obowiązek dążenia do doskonałości. Mistrz nasz wyraził go nakazem: „Bądźcież wy tedy doskonali, jako i Ojciec wasz niebieski doskonały jest.“ (Mat. V, 48).

Jakże jednak jest to możliwe? Doskonali jak Bóg może być tylko Bóg! Istotnie. Ale też cały sens Stworzenia, Wcielania i Odkupienia polega na tym, ażeby człowieka przemienić w istotę wewnętrzną bogostajitainą — deiformis, jak to nazywa św. Tomasz z Akwinu. Ażeby przemienić ludzi w synów Boga, wprowadzić nie wspólnotność Boga, jak Syn Jednorodzony, ale podobnoistnych i tylko dlatego nazwanych przez św. Pawła synami przybranymi, nie zaś dlatego, żeby to była piękna, lecz pusta przenośnia.

Sprawy te należy rozumieć dosłownie. Syn Ojca Przedwiecznego urodził się jako Syn Człowieczy, abyśmy w duchu zaczęli życie boskie i w ten sposób naprawdę stali się synami Bożymi; Nieskończona Mądrość zstąpiła w ciało i krew, „abyśmy mogli mieć uczestnictwo w bóltwie Tego, który ludzkiej natury naszej raczył stać się uczestnikiem.“<sup>2</sup> Oto, co pisze św. Jan od Krzyża, doktor Kościoła, o najwyższym stopniu życia miłością:

„Dziśiąty czyli ostatni stopień tych tajemniczych schodów polega na tym, że dusza całkowicie upodabnia się do Boga, a to ze względu na jasną wiarę Boga, która się jej bezpośrednio udziela, gdy ona przeszedłszy w tym życiu na dziewiąty stopień miłości wychodzi z ciała. I te dusze, są one jednak nieliczne, które są ostatecznie oczyszczone przez tę miłość, nie przechodzą przez czyszczenie. Mówi bowiem św. Mateusz: *Beati mudo corde, quoniam ipsi Deum videbunt*. Ta jasna wiara jest przyczyną upodobnienia się całkowitego duszy do Boga, jak to mówi św. Jan: *Wiemy, że gdy się okaże, podobni Mu będziemy. Nie w tym znaczeniu, by dusza stała się taka jak Bóg, to bowiem jest niemożliwe, lecz dlatego, że wszystka upodabnia się do Boga. Można ją więc nazwać — i tak jest istotnie, — że staje się Bogiem przez uczestnictwo.“<sup>3</sup>*

Taka jest treść obietnicy Bożej: „A wy bądźcie mi synami i córkami — mówi Pan wszechmogący.“ (Ez. XXVII, 27, Kapł. XXVI, 12).

„Mając tedy te obietnice, najmiłsi — wzywa chrześcijan św. Paweł — oczyszczajmy się od wszelkiej zmyślności ciała i ducha, doskonalcąc się przez świętość.“ (II Kor. VII, 1) „Aż wszyscy zjedziemy się w jedności wiary i poznania Syna Bożego, stawszy się miętami doskonałymi na miarę pełnego wzrostu dojrzałości Chrystusowej.“ (Efez. IV, 13).

Dynamizm postępu ku doskonałości jest jedną z najistotniejszych cech katolicyzmu. On, między innymi, sprawia, że jedna z cech rozpoznawczych Kościoła jest zdolność wydawania świętych. Gdy w jakiejś epoce historycznej duchowieństwo i wierni poprzestają na tym, że są „porządnymi ludźmi“, społeczeństwo chrześcijańskie moralnie upada. Wielkość celu decyduje bowiem o wysiłku, na jaki się zdobywamy, od wielkości zaś wysiłku zależy wielkość osiągnięcia.

Dlatego to Chrystus Pan wzywa do stanu najwyższej doskonałości wszystkich ludzi, a na wszystkich chrześcijan nakłada obowiązek dążenia do niego, choć tylko wielcy święci dochodzą w tym życiu do najwyższego stanu doskonałości, opisywanego przez św. Jana od Krzyża i innych mistyków, stanu zjednoczenia przekształcającego.

Obowiązek postępu ku doskonałości zdaniem teologów nie dotyczy wszystkich w jednakowym stopniu i w jednakowy sposób. Zakonnicy, którzy ślubowali żyć nie tylko według przykazań, lecz według rad ewangelicznych, tj. przez zachowanie czystości, ubóstwa i posłuszeństwa, są według św. Alfonsa Liguori winni grzechu śmiertelnego, jeśli postanawiają mocno „nie dążyć do doskonałości, lub przynajmniej się o nią nie troszczyć.“<sup>4</sup> „Kapłani na mocy urzędu swego i posłannictwa uświęcania dusz ludzkich, obowiązani są do doskonałej świętości wewnętrznej niż prości zakonnicy, którzy nie zostali wyniesieni do stanu kapłańskiego. Jest to wyraża nauka św. Tomasza, potwierdzona przez najbardziej autentyczne orzeczenia Kościoła.“<sup>5</sup>

Obowiązek dążenia do doskonałości nie jest jednak równoznaczny z obowiązkiem osiągnięcia jej szczytów, gdyż to nie należy wyłącznie od człowieka. Zjednoczenie przekształcające człowieka w Boga jest dziełem samego Boga, a Ten udziela go, kiedy chce i jak chce. Istnieje nawet róż-

nica zdań — referuje ją O. Ad. Tanquerey<sup>6</sup> — co do tego, czy wszyscy mogą w tym życiu stan ten osiągnąć lub zbliżyć się do niego w jednakowym stopniu.

I nic w tym dziwnego. Wznoszenie się ku boskości, to wstępowanie na zawrotny wyżyny życia duchowego, to wyprawa na duchowy Mount Everest, którego szczyt, jasniejący w nieustannym słońcu, rzadko jest widoczny dla tych, co stoją u jego podnóża w gęstych oparach leniwych mgieł, lub pod niskim pułapem groźnych chmur. Szczegóły drogi są nieznane. Techniczne określenia, dotyczące treningu we wspinaczce, budzą wiele nieporozumień. „Człowiek zmysłowy nie pojmaje, co jest z Duchu Bożego.“ (I Kor. II, 14).

Aby spełnić obowiązek, musimy wiedzieć, jak go wypełnić. Musimy wiedzieć, jakie drogi prowadzą na wyżyny. Sprawozdania z najsmielszych wypraw duchowych, z przeżyć i przemian wewnętrznych na drodze ku doskonałości zostawili nam w swoich dziełach święci mistycy, doktorzy Kościoła. Teologia ascetyczna i mistyczna usystematyzowała te sprawozdania w świetle dogmatów, tworząc mapy i przewodniki dróg życia chrześcijańskiego.

Zajrzyjmy więc do nich. Dążenie do doskonałości polega na życiu wewnętrznym. Co to jest życie wewnętrzne? „Pojęcie życie wewnętrzne nie jest bynajmniej sprzeczne z pojęciem życie zewnętrzne, tak jak w człowieku funkcje życia wegetatywnego nie są sprzeczne z funkcjami życia intelektualnego, są to po prostu sprawy odmienne, lecz jedność duszy ustanawia pomiędzy nimi konieczny związek“ — pisze dominikanin O. Boissieu w *malutkiej*, lecz treściwej książeczce pt. *Życie wewnętrzne w duszach ludzi czynu*.<sup>7</sup>

„Przez życie wewnętrzne rozumiemy życie chrześcijańskie, dążące do doskonałości. Chrześcijanin, który nie usiłuje wnieść się wyżej, lecz zadowalnia się tym, aby się zbawił w sposób najłatwiejszy, przy możliwie najmniejszym nakładzie wysiłku, nie posiada życia wewnętrznego, ponieważ nie wyrzeka się żadnego nie zakazanego absolutnie zadowolenia, jakie mu ofiaruje życie i ponieważ skutkiem tego dusza jego, rozproszona na zewnątrz, staje się niewolnicą dóbr ziemskich, od których zbyt się przywiązuje, aby móc zamaskować w innych. To samo, choć w nieco niższym stopniu, dzieje się z osobą, która oddawać się będzie działalności religijnej i społecznej nie w samej tylko czystej intencji promieniowania, przyczynienia się do poznania i umiłowania Boga i pomnożenia w samej sobie miłości ku Niemu, lecz jedynie w celu dania upustu urodzonej chęci i potrzebie czynu. Osoba taka, zbyt łatwo zadawalniana się swą działalnością, nie będzie dbała o wyższą doskonałość i lekceważąc będzie środki do niej prowadzące, w szczególności zaś czynnie unikanie grzechu i okazji do niego.“<sup>8</sup>

Przez życie wewnętrzne — pisze dalej O. Boissieu — należy „rozumieć czynną uwagę, jaką człowiek zwraca na działanie łaski w swym własnym wnętrzu, jego dobrowolne współdziałanie z jej ruchem i wzrostem życia Bożego w sobie, celne oderwania się od stworzeń a zbliżenie się do Boga i zjednoczenia z Nim.“<sup>9</sup>

„Oderwanie się od stworzeń“ — to nie ucieczka od świata, lecz uniezależnienie się od niego. To zdobycie władzy nad sobą. To wyzwolenie się od wszelkiej pożałiwości ciała, od tzw. pożałiwości oczu, która nie jest niczym innym jak żądzą posiadania z całą skalą zazdrości, chciwości, egoizmu i wyższości, od żądy władzy i zaszczytów za wszelką cenę, zwanej pychą żywota. To wyzbycie się małych pragnień i przywiązań, które przeszkadzają nam pragnąć ze wszystkich sił zjednoczenia z Bogiem. Tu wchodzi w grę jako narzędzie asceza czyli technika oczyszczenia wewnętrznego, nauka panowania nad swoim ciałem i duszą. Mistrzowie życia wewnętrznego nazywają ten proces Drogą Oczyszczenia. Życie wewnętrzne musi się od niego zaczynać, a kroczy się tą drogą w pewnej mierze aż do zjednoczenia. Drogę Oczyszczenia opisał szczegółowo św. Jan od Krzyża w *Nocy Ciemnej*.

W miarę postępującego oczyszczenia człowiek poznaje coraz lepiej i bezpośredniej Boga i coraz doskonalej się z Nim jednoczy, w przekształcając siebie miłości aż może o sobie powiedzieć: „I żyję już nie ja, ale żyje we mnie Chrystus.“ (Gal. II, 20). Wzrost świadomości i poznania duchowego — to Droga Oświecenia. Postęp w jednoczeniu się z Bogiem — to Droga Zjednoczenia.

Życie wewnętrzne odbywa się w tym samym czasie co życie zewnętrzne. Wymaga ono jednak poświęcenia pewnego czasu na modlitwę, czyli kontakt myślowy, woli i uczuciowy z Bogiem. Rodzaje modlitwy są rozmaite. Jest modlitwa ustna; jest wyższy od niej (bo uniemożliwiający bezzmysłne „klepanie“) stopień modlitwy myślniej, zwany medytacją lub rozmyśleniem. Jest wreszcie modlitwa, zwana kontemplacją.

Wyraz ten wymaga objaśnienia. Naturalna kontemplacja jest znana każdemu, kto zapatrzył się w piękny krajobraz lub zasiuchał w muzykę, tak że przestął myśleć i stracił poczucie czasu, nie przestając jednocześnie chłoniąc piękna. Podobny stan świadomości występuje u tych, których porwała miłość do Boga, przy czym rozróżnia się kontemplację nabytą i kontemplację włąną przez samego jej Ojca.

„Wyraz kontemplacja we właściwym znaczeniu — pisze O. Ad. Tanquerey — oznacza akt prostego patrzenia wzrokiem umysłu, nie biorąc w rachubę różnych pierwiastków uczuciowych lub wyobraźniowych, które mu towarzyszą; gdy jednak przedmiot kontemplacji jest piękny i godzien miłości, wtedy towarzyszą jej podziw i miłość. Rozszerzając to pojęcie, nazywamy kontemplacją modlitwą myślną, którą cechuje przewaga tego prostego patrzenia; nie ma więc potrzeby, żeby akt ten trwał przez cały czas rozmyślenia, wystarczy, by często się ponawiał i aby mu towarzyszyły uczucia. Tak więc modlitwa kontemplacyjna różni się od rozmyślenia rozumowego, wyklucza bowiem długie rozumowania; i od modlitwy uczuć, gdyż wyklucza mnogość aktów, która jest cechą tej ostatniej. Można więc określić kontemplację jako patrzenie proste i miłose na Boga lub rzeczy boskie; a krócej jeszcze: *simplex intuitus veritatis*, jak mówi św. Tomasz.“<sup>10</sup>

O kontemplacji włąnej ten sam autor mówi tak: „Ponieważ kontemplacja jest darem z istoty swej darmo danym, przeto Bóg udziela go, komu chce, kiedy chce i w jaki sposób chce. Na ogół wskazuje i normalnie udziela go tylko duszom przygotowanym.“<sup>11</sup>

Zagadnienie powszechnego powołania do kontemplacji, nierozstrzygnięte dotąd w Kościele, Tanquerey ujmuje na podstawie obserwacji w ten sposób:

„I dawniej bywali, i dziś zdarzać się mogą kontemplatyki wszelkich temperamentów i wszelkiego stanu; faktycznie jednak pewne temperamenty i pewne rodzaje życia podatniejsze są od innych do kontemplacji włąnej.“<sup>12</sup>

„Wszystkim nam na chrzcie św. otrzymali organizm nadprzyrodzony (łaskę uświęcającą, cnoty i dary). Skoro ten organizm dojdzie do pełnego rozwoju, prowadzi normalnie do kontemplacji w tym znaczeniu, iż nadaje nam ona giętkość i uległość, która pozwala Bogu przynieść nas w stan bierny,“ kiedy zechce i w sposób, jaki zechce.



# MARTA I CHRYSYSTUS\*)

„Od nas — powiada św. Teresa w *Twierdzy wewnętrznej* — Pan dwóch tylko rzeczy żąda: byśmy miłowali Jego i byśmy miłowali bliźniego: do tego dwójga zmierzać ma wszystka praca nasza, tego dwójga przestrzegając z wszelką, ile zdołamy, doskonałością, czynimy wolę Jego, a zatem i dochodzimy do zjednoczenia z Nim.“<sup>29</sup>

Wzrastanie w miłości do Boga i bliźniego mierzy się pragnieniem czynu. Sw. Jan od Krzyża ciągle zwraca na to uwagę, omawiając dziesięć stopni mistycznych Bożej miłości według św. Bernarda i św. Tomasza:

„Na tym (drugim) stopniu dusza tak jest przejęta miłością, że we wszystkim szuka Umiłowanego: w myślach swoich, w słowach, w zajęciach, nawet przy jedzeniu, w czasie snu, czuwania i w ogóle we wszystkim pragnąc miłości szuka tego, którego miłuje...“

„Trzeci stopień tych miłosnych schodów przynagla duszę do czynu i wlewa w nią zapal, by nie ustawała... Na tym stopniu dusza nawet wielkie czyny spełniane dla Umiłowanego uważa za małe, mnogie za nieliczne, długi czas w służbie miłości za krótki, a wszystko to na skutek wzrastającej w niej miłości“.

„Czwarty stopień miłości polega na tym, że dusza kochając Umiłowanego wiele cierpi bez zmęczenia. Mówi bowiem św. Augustyn, że wielkie żrudzi i cierpienia niczym są dla miłości...“<sup>30</sup>

Miarą miłości Boga jest według Ewangelii miłość bliźniego. To samo mówi Bóg do duszy w *Księdze miłosierdzia Bożego* św. Katarzyny Siemieńskiej:

„Każdą cnotę, jak i każdy grzech spełnia się za pośrednictwem bliźniego. Kto żywi nienawiść ku mnie, czyni szkodę bliźniemu i sobie samemu, który jest głównym bliźnim.“

Inaczej być nie może, gdyż „nie ma dwóch cnot miłości, jednej względem Boga, a drugiej względem bliźniego; istnieje jedna tylko, która obejmuje jednocześnie Boga miłowanego dla niego samego i bliźniego, którego miłujemy dla Boga.“<sup>32</sup>

„Najpewniejszym znakiem, po którym poznać możemy, czy spełniamy tę dwójką powinność, jest zdaniem moim — mówi św. Teresa — wierne przestrzeganie miłości bliźniego; bo czy kochamy Boga tak jak należy, tego, mimo wielu wskazań potwierdzających, że Go kochamy, na pewno jednak nigdy wiedzieć nie możemy; ale łatwo jest poznać, czy kochamy bliźniego. Im wyższy więc ujrzycie w sobie postęp w tej cnotce miłości bliźniego, tym mocniej, mieście to za rzecz pewną, będziecie utwierdzone w miłości Boga.“<sup>33</sup>

Ażebym tu było tu żadnych nieporozumień, zarówno Pismo św. jak i święci mistycy podkreślają, że miłość bliźniego ma być najbardziej konkretna, wyrażona w czynach najbardziej materialnych, namacalnych, prozaicznych. Błog. Jan Ruysbroeck mówi gdzieś o obowiązku przetrwania ekstazy rozmowy ze św. Piotrem dla podania komuś talerza rosolu. Niezrównana w kobiecej trzeźwości św. Teresa z Avila oświadcza swoim mniszkom:

„Jeśli (posłuszeństwo) pośle was do kuchni, pamiętajcie, że Pan przechadza się wśród garnków i patelni i że pomoże wam w zadaniach wewnętrznych i zewnętrznych.“<sup>34</sup>

W *Drodze do Doskonałości* również podkreśla znaczenie życia czynnego w klasztorze:

„Święta Marta była świętą, ale nie powiedziano nam, że była kontemplatycką. Cóż więcej chcecie od tego, żeby stać się podobnymi do tej błogostawionej kobiety, która była godna tak często przyjmować Pana Naszego Chrystusa w swoim domu i przygotowywać dla Niego posiłki, i służyć Mu i może jeść z Nim przy stole? Gdyby była zajęta pobożnością przez cały czas, jak Magdalena, nie byłoby nikogo do przygotowania posiłku dla tego Boskiego Gościa.“

Pamiętajcie, że musi być ktoś, kto by gotował jedzenie i uważał się za szczęśliwego, że może posługiwać jak Marta. Pomyślcie, że prawdziwa pokora polega w znacznym stopniu na tym, aby być gotowym na to, co Pan pragnie z wami uczynić i szczęśliwym, że to czyni, i na uważaniu się zawsze za niegodnych nazwy Jego sług. Jeśli kontemplacja i myślna i ustna modlitwa, i dogładanie chorych, i posługiwanie w domu, i praca nawet przy najniższych zajęciach są pożyteczne dla Gościa, który przychodzi do nas jeść i odpoczywać z nami, jakież znaczenie ma mieć dla nas to, czy robimy jedną z tych rzeczy, czy raczej inną?“<sup>35</sup>

Życie wewnętrzne więc nie tylko powinno zaczynać się od pracy — oczywiście przepojonej miłością — ale taka właśnie zwykła, codzienna praca jest największą próbą świętości i najpewniejszym środkiem uswięcenia i osiągnięcia doskonałości.

„Stosunki zawodowe są środkiem uświęcenia lub przeszkodą do postępu, stosownie do tego, jak kto zapatruje się na obowiązki stanu i jak je spełnia. Obowiązki, jakie układa na nas zawod nasz, są w gruncie rzeczy same w sobie zgodne z wolą bożą; jeśli je spełniamy jako wyraz woli bożej, z intencją posłuszeństwa Bogu, i z tą wolą, by przy ich wykonywaniu kierować się prawidłami roztropności, sprawiedliwości i miłości, wtedy przyczyniają się do naszego uswięcenia.“<sup>36</sup>

„Wnioskiem, który się tutaj narzuca, jest konieczność uświęcenia wszystkich czynności i każdej z osobna, nawet najzwyklejszych. Wdzielimy, że każda z nich może być zastępująca, jeżeli ją spełniamy w celach nadprzyrodzonych, w zjednoczeniu z Pracownikiem w Nazarecie, który pracując w swym warsztacie, ustawicznie zbierał dla nas zasługi. A jeśli najdrobniejszą nawet czynność możemy uświęcić, jakże łatwo możemy postąpić naprzód w ciągu jednego choćby dnia! Od pierwszej chwili przebudzenia aż do spoczynku wieczornego, akty zastępujące, wykonywane przez duszę skupioną i wspianiatomyślną, liczyć się mogą na setki; bo nie tylko każda czynność, lecz, jeśli czynność ta trwa czas dłuższy, każdy wysiłek, by ją lepiej wykonać, by np. odpędzić roztargnienia na modlitwie, by się przyłożyć do pracy, by uniknąć jakiegos słowa nie bardzo zgodnego z miłością bliźniego, by oddać bliźniemu najmniejszą choćby przysługę; każde słowo wyrzeczone pod wpływem miłości do bliźniego; każda myślna doba, z której jest korzyść; słowem, wszystkie wewnętrzne poruszenia duszy, dobrowolnie skierowane do dobrego, są każde z nich aktem zasługującym, przez który i Bóg, i łaska w duszy potężnieją.“<sup>37</sup>

Życie kontemplacyjne — Maria — ma być dla życia czynnego — Marty — źródłem natchnienia; życie czynne ma być sprawdzianem rzeczywistości wartości życia kontemplacyjnego. „Maria i Marta to siostry, a nie pani i sluga; po bratersku łączą je jeden cel, do którego na dwa różne zdają się sposoby“ — mówi O. Boissieu.<sup>38</sup> Składają się one na jedność, którą nazywamy życiem wewnętrznym i nikt nie może go posiadać, kto chce być tylko Marią lub tylko Martą.

O jednej z tych kranowości mówi bł. Jan Ruysbroeck:

„Kto tylko sam dla siebie oddawać się pragnie życiu kontemplacji nie troszczyć się ucale o bliźnich, ten nie posiada ani życia wewnętrznego, ani kontemplacji, lecz we wszystkim postępowaniu swym zawsze się łądzi.“<sup>39</sup>

Do drugiej odnoszą się słowa św. Pawła:

„Gdybym na żywienie ubogich rozdał wszystką majątność swoją a ciało swoje wydał na spalenie, a miłości bym nie miał, nic mi nie pomoże“. (I Kor. XIII, 3).

Prymat życia kontemplacyjnego w życiu wewnętrznym polega na tym, że stanowi ono jedyny sposób wniesienia Boga do naszej świadomości. Jeśli chodzi o realizację Jego woli, na pierwszy plan wysuwa się życie czynne.

Dotyczy to także życia zakonnego, które jest (jak chrześcijańskie życie świeckie) jedną z dwóch form organizacyjnych życia wewnętrznego. Wewnętrznie różni się ono od chrześcijańskiego życia świeckiego tym, że zakonicy uroczystnie zobowiązują się żyć zawsze według rad ewangelicznych. Zewnętrzna różnica polega na tym, że przez zaspokojenie potrzeb doczesnych we wspólnocie własności i dzięki specjalnemu trybowi życia opartemu na ścisłej dyscyplinie i bezżenności, jednostka w zakonie ma gwarantowaną możliwość stałego udziału w nabożeństwach, modlitwie, roz-

myślanu i lekturze religijnej. W zakonie łatwiej zdobyć życie wewnętrzne. Dlatego też od zakonników wymaga się większego w nim postępu.

Proporcja czasu przeznaczanego na życie kontemplacyjne i życie czynne jest w różnych zakonach różna. Nawet jednak w klasztorach ściśle poświęconych kontemplacji, czyli kontemplacyjnych, nie powinna ona wypadać na niekorzyść życia czynnego. Sw. Teresa od Jezusa, która była karmelitanką, a więc należała do zakonu sławnego z kontemplacji, namślawiwszy się z dusz „zaciętrzewionych w przedmiocie rozmyślenia“, w cytowanym już urywku z *Twierdzy wewnętrznej*, po słowach „Nie tędy droga siostry, nie tędy!“ woła: „Bóg żąda uczynków! Gdy widzisz siostrę chorą, której możesz przynieść ulgę, nie wahaj się ani na chwilę poświęcić dla niej nabożeństwo twoje; okaż jej współczucie, co ją boli, niech ciebie boli i jeśli dla posilenia jej potrzeba, byś sama sobie odmówiła pożywienia, ochoczym sercem to uczyni, nie tyle dla niej samej, ile raczej dla miłości Pana, który wiesz, że tego pragnie. To jest prawdziwe zjednoczenie...“<sup>40</sup>

W *Księdze Fundacji* zapewnia zaś:

„Wiercie mi, nie długość czasu spędzanego na modlitwie przynosi duszy dobrodziejstwa; gdy spędzamy czas na dobrych uczynkach, jest to dla nas wielka pomoc i lepsze i szybsze przygotowanie do rozniecenia naszej miłości niż wiele godzin rozmyślenia.“<sup>41</sup>

Przypomina to słowa Pana w *Księdze miłosierdzia Bożego* św. Katarzyny:



rys. Gabriel Rechowicz

„Nie ma obrazy w tym, że nie posiada się pociechy duchowej, ani w tym, że opuszcza się modlitwę w czasie, gdy wymaga tego potrzeba bliźniego, lecz grzechem jest uchybić miłości bliźniego, którego powinniśmy się kochać, służąc mu z miłości dla Mnie.“<sup>42</sup>

Dlatego, według św. Teresy, dusza daleko posunięta w doskonałości „prosi, żeby mogła dokonać wielkich rzeczy w służbie Pana Naszego i swego bliźniego, i dlatego cieszy się z utraty rozkoszy i przyjemności, albowiem, chociaż to należy raczej do życia czynnego niż kontemplacyjnego i choć pozornie będzie stratna, jeśli ta prośba zostanie spełniona, kiedy dusza jest w tym stanie, Marta i Maria jakby nigdy nie przestają działać razem. Wewnętrzna część duszy działa w życiu czynnym i w rzeczach, które wydają się zewnętrzne, lecz kiedy dzieła czynu wychodzą z tego źródła, są one jak cudne i wonne kwiaty. Drzewem bowiem, z którego pochodzą, jest bezinteresowna miłość dla Boga, dla Niego samego...“<sup>43</sup>

„Jest to wielka łaska, której Pan udziela tym duszom, gdyż łączy życie czynne z kontemplacyjnym. W takich razach służą one Panu na oba te sposoby jednocześnie; wola w czasie kontemplacji czynnie nie wiedząc, jak to robi; inne dwie władze służą Mu jak Marta. W ten sposób Marta i Maria pracują razem.“<sup>44</sup>

Życie więc kontemplacyjne nie może w żaden sposób wykluczać życia czynnego. Widac to najlepiej u autentycznych kontemplatyków. u świętych. Oto, co pisze na ten temat O. Ad. Tanquerey: „Święci, którzy pisali o życiu duchowym, byli to po większej części ludzie nauki i czynu. Dowodem na to: Klemens Aleksandryjski, św. Bazyli, św. Chryzostom, św. Ambroży, św. Augustyn, św. Grzegorz, św. Anzelm, św. Bernard, bł. Albert Wielki, św. Tomasz, św. Bonawentura, Gerson, św. Ignacy Loyola, św. Teresa, św. Franciszek Salez, św. Wincenty z Paulo, Kard. de Berulle, M-me Acarie i tylu innych, których zbyt długo byłoby wliczać“. Prawdziwa bowiem „kontemplacja nie tylko czynowi nie staje na zawadzie, lecz przeciwnie, oświeca go i nim kieruje.“<sup>45</sup>

To samo zauważył M. de Montmorand:

„Prawdziwi mistycy, to ludzie praktyki i czynu a nie rezerwy i teoretycy. Mają oni zmysł organizacyjny, dar rozkazywania i okazują wybitne zdolności do prowadzenia interesów. Dzieła przez nich założone są żywotne i trwałe; w ujęciu i przeprowadzeniu swych zamiarów dają dowody roztropności i śmiałości, oraz owej sprawiedliwej oceny różnic możliwości, która jest cechą zdrowego rozsądku. I w rzeczy samej, zdrowy rozsądek zdaje się być ich główną zaletą; zdrowy rozsądek nie zamącony żadną chorobliwą egzaltacją, żadną wybujałą wyobraźnią...“<sup>46</sup>

Tak właśnie być powinno. Uświęcenie osobiste, jeśli jest prawdziwe, musi iść w parze z budowaniem Królestwa Bożego na ziemi. Na to Ojciec Wszechmogący stworzył człowieka. Zrobił to mówiąc: „Uczynimy człowieka na wyobrażenie i na podobieństwo nasze: a niech przelozony będzie rybem morskim i ptactwu powietrznemu, i bestiom, i wszystkim ziemi.“ (Rodz. I, 26.) A ludziom rozkazał: „Rośnijcie i mnożcie się i napełniajcie ziemię, a czyńcie ją sobie poddaną.“ (Rodz. I, 28.) Grzech pierwotny opóźnił realizację tego zadania i odebrał człowiekowi możliwość włodarowania na ziemi zgodnie z planem Stwórcy. Bóg więc sam zstąpił między ludzi, aby w Kościele założyć zalążek nowego, odrodzonego czyli na nowo narodzonego społeczeństwa ludzkiego. Słowa: „Idąc tedy nauczajcie wszystkie narody“ (Mat. XXVIII, 19) i „Tak niechaj świeci światłość wasza przed ludźmi, aby widzieli dobre czyny wasze i chwalili Ojca“ (Mat. V, 16) wyraźnie świadczą o tym, że po-

slannictwo nałożone przez Odkupiciela na każdego chrześcijanina odnosi się do całej ludzkości.

Budowanie Królestwa, o którego przyjście mamy obowiązek modlić się przed zacementem dnia pracy i po jego zakończeniu, zaczyna się od wewnątrz, cel jednak pozostał ten sam — uczynienie z człowieka szczęśliwego syna Bożego i pana szczęśliwej ziemi. Tej sprawy dotyka św. Paweł w tych tajemniczych słowach: „Stworzenie... z upragnieniem wyczekuje objawienia synów Bożych. Stworzenie bowiem podane było znikomości nie ze swej woli, lecz dla tego, który je znikomości poddał w nadziei, że i samo stworzenie będzie wyzwolone z niewoli skażenia na wolność chwasty synów Bożych. Bo wiemy, że całe stworzenie wzdycha i aż dotychczas rodzi wśród boleści. A nie tylko ono, ale i my sami, którzy mamy pierwiastki ducha, i my także we wnętrzu naszym wzdychamy, wyczekując przybrania za synów Bożych, odkupienia ciała naszego.“ (Rzym. VIII, 19—23.)

Olbrzymie, trudne do objęcia okiem horyzonty otwierają się przed tym, kto uważnie słucha nauk Mistrza. Jaką ogromną wartość społeczną mogłoby mieć życie wewnętrzne, gdyby w ciągu ostatnich dwudziestu wieków jego praktyka była, po pierwsze, całkowicie zgodna z nauką Kościoła o kontemplacji i o czynie, po drugie, masowa w społeczności katolickiej! Niestety jednak, fakty takie, jak istnienie niesprawiedliwości społecznej, nędzy, ciemnoty i wojen w świecie, w którym największą społeczność stanowią chrześcijanie, świadczy o tym, że jeszcze bardzo daleko nam do doskonałości. Widocznie życie wew-

nętrne w praktyce zbyt często rozszepia się na modlitwę bez uczynków, czyli dewocję, i na czyny, których treścią i celem nie jest ani miłość Boga, ani bliźniego, lecz historyczne podniecenie, kult samego siebie i samolubstwo.

Gdy rzekoma Maria i rzekoma Marta, przejęte własną ważnością, zapominają o sobie wzajem i o swoim Gościu, Łazarz leży ciężko chory. Uzdrówmy go w pełnym Chrystusie.

<sup>1</sup> O. Ad. Tanquerey, *Zarys teologii ascetycznej i mistycznej*, Kraków 1926, t. I, rozdz. IV, s. 282.

<sup>2</sup> Kanon Mszy św.

<sup>3</sup> Sw. Jan od Krzyża, *Noc ciemna*, Kraków 1949, s. 170.

<sup>4</sup> Tanquerey, dz. cyt., t. I, s. 305.

<sup>5</sup> Tanquerey, dz. cyt., t. I, s. 312.

<sup>6</sup> Tanquerey, dz. cyt., t. II, s. 732 i na.

<sup>7</sup> O. Boissieu, *Życie wewnętrzne w duszach ludzi czynu*, Opole 1948, s. 7 i 8.

<sup>8</sup> Boissieu, dz. cyt., s. 8—9.

<sup>9</sup> Boissieu, dz. cyt., s. 11.

<sup>10</sup> Tanquerey, dz. cyt., t. II, s. 521.

<sup>11</sup> Tanquerey, dz. cyt., t. II, s. 614.

<sup>12</sup> Tanquerey, dz. cyt., t. II, s. 736.

<sup>13</sup> Stanem biernym nazywa się najwyższy stopień oczyszczenia i zjednoczenia, w którym „dusza nie ma ani własnej inicjatywy, ani własnego działania; albowiem Bóg działa w niej, podczas gdy ona zachowuje się bierne“. Dotyczy to wewnętrznego zachowania się w czasie kontemplacji.

<sup>14</sup> Tanquerey, dz. cyt., t. II, s. 737.

<sup>15</sup> Tanquerey, dz. cyt., t. II, s. 737.

<sup>16</sup> Cyt. u. Tanquereya, dz. cyt., t. II, s. 657—658.

<sup>17</sup> Sw. Jan od Krzyża, *Przestrogi duchowe*, Kraków 1936, s. 38.

<sup>18</sup> Sw. Katarzyna ze Sieny, *Księga miłosierdzia Bożego, czyli dialog*, Kielce 1949, t. I, s. 192.

<sup>19</sup> Sw. Teresa od Jezusa, *Twierdza wewnętrzna*, Kraków 1943, s. 165.

<sup>20</sup> Sw. Teresa od Jezusa, dz. cyt., s. 166.

<sup>21</sup> *The Complete Works of St. Teresa of Jesus*, New York 1946, t. II, *Way of Perfection*, s. 64.

<sup>22</sup> Sw. Jan od Krzyża, *Droga na górę Karmel*, Kraków 1946, s. 152.

<sup>23</sup> Tamże, s. 153.

<sup>24</sup> Tamże, s. 274.

<sup>25</sup> Tamże, s. 162—163.

<sup>26</sup> Cyt. u. Boissieu, dz. cyt., s. 22.

<sup>27</sup> Cyt. u. Boissieu, dz. cyt., s. 22.

<sup>28</sup> Sw. Katarzyna ze Sieny, dz. cyt., t. I, s. 89.

<sup>29</sup> Sw. Teresa od Jezusa, dz. cyt., s. 163.

<sup>30</sup> Sw. Teresa od Jezusa, dz. cyt., s. 163.

<sup>31</sup> Sw. Jan od Krzyża, *Noc ciemna*, s. 163—165.

<sup>32</sup> Sw. Katarzyna ze Sieny, dz. cyt., t. I, s. 50.

<sup>33</sup> Tanquerey, dz. cyt., t. I, s. 262.

<sup>34</sup> Sw. Teresa od Jezusa, dz. cyt., s. 164.

<sup>35</sup> *The Complete Works*, t. III, *Book of the Foundations*, s. 22.

<sup>36</sup> *The Complete Works*, t. II, *Way of Perfection*, s. 70—71.

<sup>37</sup> Tanquerey, dz. cyt., t. I, s. 479—480.

<sup>38</sup> Tanquerey, dz. cyt., t. I, s. 314—315.

<sup>39</sup> Boissieu, dz. cyt., s. 18—19.

<sup>40</sup> Cyt. u. Boissieu, dz. cyt., s. 23.

<sup>41</sup> Sw. Teresa od Jezusa, dz. cyt., s. 166.

<sup>42</sup> *The Complete Works*, t. III, *Book of the Foundations*, s. 28.

<sup>43</sup> Sw. Katarzyna ze Sieny, dz. cyt., t. I, s. 192.

<sup>44</sup> *The Complete Works*, t. II, *Conceptions of the Love of God*, s. 326.

<sup>45</sup> *The Complete Works*, t. II, *Way of Perfection*, s. 129.

<sup>46</sup> Tanquerey, dz. cyt., t. I, s. 445—446.

<sup>47</sup> Montmorand, *Psychologie des Mystiques*



# „WESELE” w warszawskim Pałacu Kultury

WSPOMINAJĄC w przeddzień ostatniej premiery warszawskiej prapremiery „Wesela” (DJ Nr 28 z 1 lipca br.), Alina Swiderska nalegała na to, aby brzo Boże nie popaść w niej w inscenizacyjne nowinkarstwo, aby pokazać dzieło tak, jak przed pół wiekiem uczynił to na scenie krakowskiej sam Wyspiański. Myślę, że pod tym względem Swiderska niewiele miałaby do przysięgi spektaklowi przygotowanemu na Święto Odrodzenia w Pałacu Kultury i Nauki.

Scenograf Andrzej Pronaszko stworzył taki przekrój rozspiewanej bronowickiej chaty, że czuło się od razu, iż w dwuznacznej zgodzie współżyją w niej łączące się z sobą rodzinnymi więziami szlachecka inteligencja z zamożnym chłopskim; z szlachtą polską lud! Rycerski rymunek przodków, obraz Matejki, wieniec żniwny sąsiadowały z krakowską skrzynią i Matką Boską Częstochowską, nad wszystkim zaś — ponieważ przekrój objął i dach — górowała stromiła strzech. W kostiumach wiele było „bajecznej kolorowości”, sceny ze zjawami tonęły w księżycowo-widmowej niebieskiej poświacie i tylko udział muzyki (Andrzej Markowski) był może w końcowych scenach dyskretniejszy niż zazwyczaj. „I żeby Pan Młody koniecznie miał binokle” — słyszałem jeszcze w pewnym obywatelskim domu. W Teatrze Domu Wojska żądost uczyniono i temu zadaniu, i Andrzej Bogucki wyglądał naprawdę jak białaczujący się ludowo c.k. uczonego-poeta.

Innowacje reżyserskie Maryny Broniewskiej i Jana Swiderskiego były, jak się zdaje, całkiem niekierunkowe i dotyczyły raczej szczegółów. W II akcie baby zapalały świecę przechodząc do oczępin; Hetman (Saturnin Butkiewicz) pojawia się, niby w obrazie, w jaskrawo oświetlonych ramach drzwi, a towarzyszący mu podgoleni szaraczkowie-diabli potęgowali jeszcze podobieństwo do zjawy Dziedzica z II części „Dziadów”. W ogóle sceny z widmami rozwiązano w ich układzie plastycznym pomyslowo i każdą inaczej. Dużą zaletą całości inscenizacji była jej przejrzystość i zrozumiałość, nawet dla mniej wyrobionego widza. Sceny wizyjno-symboliczne ulegały w niej niezbędnemu wyodrębnieniu od scen realistyczno-komediowych, aby dzięki umiejętnemu operowaniu światłem i muzyką (czy też ciszą) włączyć się znowu w sposób niejako naturalny i organiczny w plan rzeczowy akcji weselnej.

Jak dotąd, pięknie. Przejrzystość jest zawsze dobrą rzeczą, a tradycyjność dekoracji, nie nam chyba, tym razem nie przeszkadzała. Jaka treść dostrzegł jednak reżyserzy za szafajem „Wesela”, dzieła oplatanego jak żadne inne legendą? Przede wszystkim zaś, co pozwoliło z tego dobrać widzowi? Jaki istotny sens i aktualność utworu? Tu zaczyna się wątpliwość i widza i krytyka.

Powojenne inscenizacje obudziły już sceptycyzm wobec dotychczasowego naszego spojrzenia na dzieło Wyspiańskiego, a nawet wobec dzieła samego: Mity zeń wyprowadzane

zwietrzały, domniemana historiozofia trąciła histerią.

Nieco później Kazimierz Wyka, zaopatrzony w „mędrca szkiełko”, w socjologa daty i liczby, próbował odróżnić prawdę od legendy „Wesela” i wydać wyrok o jego aktualności. Nie wszystko w jego książce przekonywało. Ze Wyspiański miał taki czy inny stosunek do poszczególnych kierunków ruchu ludowego, że nie wprowadził robotnika do „Wesela”? — chyba nie tego rodzaju „konkretność” przesądza o „wieczności” dzieł literackich. Również konkluzja Wyki nie zadowalała. Zaprzeczal on bezpośrednio(?) aktualności „Wesela” jako przestrogi pod adresem sumień inteligentnych, choć zarazem przyznawał żywotność jego „realistycznego fundamentu”. Co miał począć reżyser z wnioskiem tak ostrożnym, dwójnym, zgola dwuznacznym?

Bądź co bądź, reżyserzy warszawscy przejęli chyba z wniosków Wyki tezę o „wyższości” realistycznego wtku „Wesela”. Znamiennej wymowę posiada pod tym względem obsada ról: do scen realistycznych dano najlepszych artystów, jakich Teatr Wojska Polskiego zdołał po-

tyrycznie ujęty, choć zawsze na skrajku jarys, Książd.

Również dalsze role tej grupy, grane często przez wybitnych artystów (jak: Kazimierz Opaliński — Zyd, Helena Buczyńska — Klimina, Wanda Łuczycza — Gospodyni, Janusz Nowacki — Dziad, Józef Nowak — Jasiak) mieniły się humorem, realistyczną plastyką, bardzo polskim sentymentem (Zosia K. Mikiówny, Hanecka T. Szmigielówny). Graniczną między obu grupami postacią Rachel, czarodziejki tej weselnej nocy, ujęła Halina Mikołajska nader subtelnie, łącząc społeczny realizm tej postaci, jako przedstawicielki ówczesnych gustów i snobizmów artystyczno-literackich, z nastrojową funkcją pełniąca przez nią w spektaklu. W sumie, sceny realistyczne „Wesela” zabrzmiały zdecydowanie, silnie i były najlepszą stroną przedstawienia.

JAK WYPADŁY w spektaklu postacie planu wizyjno-symbolicznego? Wyka, choć zgodnie z tradycją, dopatrywał się w nich istotnej problematyki utworu, wykazał wobec nich pewną beznadność. Na-

man. Również Chochół i postać Wernyhory i złoty róg, i bierność nasłuchiwanie — zamiast nasuwać myśl o tajemnych, głębokich prawdach narodowego bytu — byłyby jedynie jeszcze jednym, wyrafinowanym środkiem satyry i bezlitosnego pamfletu. Oczywiście, nawet będąc pomyślane jako satyra „Wesela” było satyrą rozpaczliwą, okrutną, będąc zaś pamfletem, nie przestawało być pamfletem tragicznym.

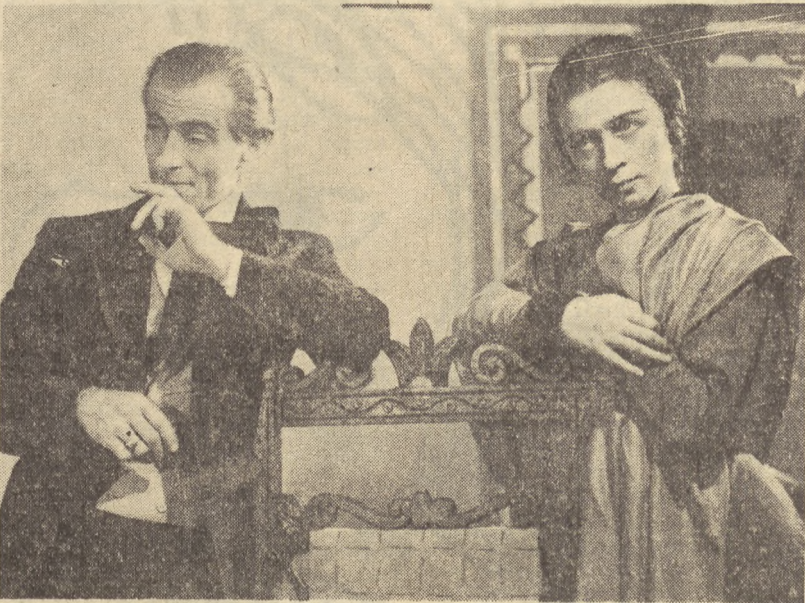
Takie nowe spojrzenie na „Wesela” wydaje się wiele obiecujące. Stawia ono w nowym świetle jego aktualność, nadaje mu jeszcze głębszą jedność artystyczną i jednoznaczność ideową. Nawet gdyby nie udało się udowodnić z całą pewnością, że satyra i pamflet były istotną intencją Wyspiańskiego w scenach wizyjnych, w tym chyba właściwym kierunku należałoby szukać ich rozwiązania. Czy reżyserzy Teatru Domu Wojska Polskiego wykorzystali jednak koncepcje swego doradcy literackiego, Konstantego Puzyńskiego?

W teatrze liczy się jedynie realny wynik, sprawdzalny okiem i uchem widza. Widz jednak, powiemy szczerze, nie odczuwał intencji pamfletowych przedstawienia. Wydawało się co najwyżej, że reżyserzy machnęli ręką na rolę wizyjno-symboliczną, że dbając o jako tako poprawne reprezentowanie tekstu odpowiednich scen, powściągnęli raczej siłę ich możliwej — przynajmniej — uwiarygodniającej — upiornej sugestyjności. Nawet role realistyczne traciły coś w kontakcie ze światem zjaw. Szczególnie scena Dziennikarza (Przemysław Zieliński) ze Stańczykiem (Józef Kondrat) wypadła statycznie i nużąco.

Od nowej koncepcji literackiej do nowego kształtu scenicznego droga bywa daleka. Tu droga ta jest szczególnie trudna. Chodzi nie o to, aby osłabić owo pamięć z dawnych przedstawień wrażenie urzeczona i fascynacji, osiągnięte przez wysokie emocjonalne nasycenie scen wizyjnych, lecz o to, aby przewiekszczyć je na nowy kierunek, aby zabarwić je dyskretnym, lecz mimo wszystko wyraźnym i wyczuwalnym odcieniem satyrycznym, pamfletowym. Zadanie to jest prawie karkołomne. Generalny aspekt pamfletu nie może przekreślać bogactwa poezji i złożoności nastrojów, a zgranie satyrycznej dominacji z lirycznymi epizodami wymaga nie lada jakiej finezji. Tymczasem, zubożenie przez długie lata konwencji ograniczenie realistycznej, nasi aktorzy i reżyserzy, zwłaszcza warszawscy, nadal jeszcze nie odzyskali wycucia stylu polityckiego, nadal słabo sobie radzą z rolami wymagającymi fantazji i „umetra”, zdolności głębszego, bardziej złożonego przeżycia.

Mimo wszystko przyjmujemy „Wesela” w Pałacu Kultury jako zadatek tych przeżyć, jakie utwor ten w nowym spojrzeniu, w nowej rzeczywistości nadal w stanie jest zapewniać. Może inny reżyser-inscenizator — oby ukrocie! — da nam pełną ich miarę.

Artur Hoffman



Halina Mikołajska w roli Rachel i Jan Swiderski jako Poeta

zyskać. Nic też dziwnego, że w tej grupie wykonawców pojawiły się bardziej sugestywne kreacje premierowego wieczoru: Tadeusz Białoszczyński, Gospodarz pełen ziemianńskiej godności (poufale „Panie Włodzimierzu”, z jakim zwraca się doń Wernyhora, wyraz szlacheckiego „za pan brat” z Historia, brzmiała dla mnie zawsze jako najprędniejsza ironia); świetny w roli Poety-dekadenta, Jan Swiderski oraz Maria Bogurska (Maryna) — oboje znakomici w wierszu i salomonowej konwersacji; inny uariant dekadencji, Nos, którego con amore grał Aleksander Dzwonkowski; soczysty Czepiec Janusza Paluszkiwicza, zaddierzysty w mowie, lecz w gruncie rzeczy trzymający z panami i od nich wyciekający rozkazami; Ewa Krasnodębska, uroczą, pełną temperamentu i świetnie mówiącą po ludowemu, Panna Młoda; Tadeusz Chmielewski, wyborny, sa-

tomiał w kulturalnych teatralnych przed premierą głośno było od nowej koncepcji tej strony utworu. Cóż to za koncepcja? Czy wykorzystała reżyseria?

W kulturalnym padło i przedostało się do recenzji magiczne słowo: „pamflet”. Określenie dające wiele do myślenia, zdające się naprawdę otwierać perspektywy. W myśl tego „Wesela” byłoby pamfletem, przede wszystkim politycznym pamfletem, na mitologię i powszechnie złudzenia narodowe, na zbiorową halucynację społeczeństwa, na polityczną bezkierunkowość inteligencji i chłostwa. Cóż w tym ujęciu nowego? Noże jest właśnie ujęcie scen wizyjnych: pamflet obejmowałby i te sceny i ich również zadaniem byłoby dodatkowe oświecenie postaci realistycznych. Nawet ich myśli, ich marzenia, upostaciowane w zjawach i widmach, kompromitują, są wyrazem samozakia-

DOKOŃCZENIE ZE STR. I

Wietnamczyk fotografował Polkę w stroju regionalnym, uśmiechając się do niego na tle barwnego bukietu flag.

Nie oskarżając sprawozdawcy nr 138 o przester tendencji interpretacyjnych. Nie, to po prostu — zgodnie z prawem i prawdą festiwalu — dostrzeganie ścisłego, nierozdzielalnego związku między serdecznością, zwycięsko manifestowaną radością i konsekwentną, świadomą walką o prawo do radości świata.

4 sierpnia, wieczorem. Z NOWU uwiodła mnie pokusa emocji sportowych. Spędziłem na Stadionie Dziesięciolecia cztery bite godziny, by obserwować dwa mecze: Pekinu z Liege i Warszawy z Karl-Marx-Stadt. „Moi” Pekini — zdobyli sobie sympatię całej już widowni. Grają bardzo atrakcyjnie, chwilami zachwycają kunstowym dribblingiem. Ale ciągle za dużo „kiwają” pod bramką, chcą wypracować sytuację, w której wepchnięcie piłki do siatki byłoby już tylko formalnością. Krepuje ich jakoś obawa przed fuzerką, nie są zbyt skłonni do podejmowania ryzyka decyzji. Tym się chyba tłumaczy bezbramkowy wynik meczu. Bo przez cały czas mieli zdecydowaną przewagę nad Belgią. I aż trzy razy obronił Belgów przed utratą bramki... słupek lub poprzeczka. Trzeba było wtedy słyszeć jęk kilkadziesiątosięciowej publiczności, by poznać skalę sympatii, jaką wzbudziłi we wszystkich mili gracze z Pekinu.

Natomiast w drugim meczu Warszawa po raz drugi rozczarowała. Ostro można by jej postawę określić jako kopanie megalomanów. Są przekonani, że są o niebo lepsi, dlatego partola. I w sporcie popłaca mądry aliaz poczucia własnej wartości z rozsądną pokorą.

Wychodząc ze Stadionu Dziesięciolecia niezbyt zachwycony, ale przyjemnie odświeżony, obmyty ze zmęczenia. I pomyślało mi się, że sport — oprócz wszystkich swoich walorów — posiada jeszcze ten ważny atrybut, że jest bardzo istotnym, bardzo skutecznym w działaniu współczynnikiem, no powiedzmy: higieny psychicznej. Działa na nasz układ wewnętrzny, tak jak na ciało zimny natrysk w upalny dzień, albo jak głęboki, orzeźwiający wdech po żmudnym pochyleniu nad maszyną do pisania. Dobrze byłoby, gdyby choć z tej racji zainteresowało się sportem jeszcze więcej tzw. intelektualistów czy innych „robiących w kulturze”.

5 sierpnia, rano. SIEDZE w łasku białeńskim, w pobliżu Akademii Teologicznej, i — wystawiwszy kark na słońce — notuję w pośpiechu kilka uwag, których nie chciałbym zgubić w rozgardzaniu festiwalowym.

Okazuje się przede wszystkim, że w tym rozgardzaniu potrafią odnajdywać się ludzie związani ze sobą — mimo kordonów granicznych — mocniejszą więzią czy to zainteresowań specjalnych, czy wspólnotą określonego światopoglądu, określonej postawy filozoficznej. Obok łączącej wszystkich uczestników festiwalu zasadniczej wspólnoty walki o pokój i lepszy, piękniejszy świat, ujawniają się i konkretyzują się w przyjaznych rozmowach ściślejsze, wyraźniejsze powiązania młodzieży, reprezentujące ten sam światopogląd.

Odnajdują się i nawiązują między sobą serdeczniejsze i ściślejsze kontakty młodzi katolicy ze wszystkich stron świata. I tak np. w dzisiejszym numerze „Festiwalu” ukazującego się w pięciu językach, delegacja brytyjska zaprasza na jutro do swojej siedziby młodych chrześcijan — protestantów i katolików — na spotkanie poświęcone tematowi: „Chrześcijaństwo i międzynarodowe porozumienie”. Pójdzie tam chyba z ramienia naszej delegacji Jurek Krzysztoń. Nawet i bez oficjalnych zaproszeń realizuje się jednak wiele spotkań podobnego w swym zasadniczym sensie typu.

Do nas, na Mokotowską 43, niemal co kilka godzin samochody przywożą jakąś grupkę młodzieży katolickiej. Francuzi, Belgowie, Włosi, Szwajcarzy, Niemcy, Anglicy, ba, pojawił się mają nawet mieszkańcy dalekiego Kamerunu i bliskiego sercu Wietnamu!

Zosia z Adą Borkowską niemal cały dzień są zajęte w roli i tiumnacek, i gospodyn. Nasi starsi i młodszy koledzy muszą odpowiadać na dziesiątki pytań. Zainteresowanie dla ruchu społecznego postępowego katolików w Polsce jest ogromne. Zadanie uzupełnienia wielu luk w wiedzy o naszym ruchu jest olbrzymie. W przyjaznej, pełnej obustronnego zainteresowania atmosferze poszerza się wiedza, pogłębia się rozumienie wielkich perspektyw ruchu katolików śmiąto angażujących się w walkę o pokój, w walkę o taki świat, w którym człowiek ma pełne możliwości rozwoju. O tych spotkaniach powinien ktoś napisać osobny artykuł. Zosia opowiadała mi np. o grupie młodych katolików francuskich, których na zaproszenie „Paxu” przywoził do Polski jako gości festiwalowych ks. André Chéret. Są między nimi: student medycyny Joseph Faysinnet z Montpellier, gawroszowaty Gilbert Bennet, Pierre-Louis Manger, Daniel Courrat, Rene Sonette. Bardzo ciekawymi, młodymi ludźmi, związani również silnie z katolicyzmem, jak i ze sprawą wielkiej przebudowy społecznej. Namiętnie Zosie, by sama o nich coś napisała. Warto. Nie wiem jednak, czy uda mi się przewyciężyć „piórowstręt” lub raczej „piórolek” własnej żony. Ale i inni na pewno już o tym pomyśleli.

Tu, w Akademii Teologicznej na Białanach (dwieście metrów od łałki, na której siedzą gryzmołack swoje notatki) zorganizowaliśmy prowizoryczną wystawę, ukazującą sytuację katolicyzmu w Polsce Ludowej. Właśnie stamtąd wyszedłem przed godziną. Wystawa jest prosta, skromna, ale wyrazista. Wyrazista przede wszystkim jako kontrargument przeciwko fałszywemu, a kolportowanemu przez konserwatywny środowiska plotkom o „likwidacji katolicyzmu” w Polsce.

Między drzewami białeńskiego lasu widzę właśnie naszego „Comera”, przywołającego grupę oczekiwanych Szwajcarów. Wcześniej był tu Wietnamczyk. Zainteresowanie żywe, bezpośrednie, nie dające się

\*) W tym samym numerze Wasz sprawozdawca opublikował swój wniosek dotyczący księgi festiwalu, z przyjemnością stwierdzając, że w radzieckiej mudacji pisma redakcja dopisała: „My błogodarim naszego drugą Zygmunta Lińskiego, za eto, cżie podniósł on wprost takoj ważności” i wywła „wszech pisatielej i zurnalistow otkliknusia na etot przyzw”.

## Na Daleki Wschód (4)

# PÓLNOC I POŁUDNIE

WOJCIECH KĘTRZYŃSKI

SIEDEMNAŚCI równoleżnik — na mocy zeszlorzocznych Układów Genewskich — przeciął Wietnam na dwa przeciwstawne sobie twory państwowe. Można by z goryczą stwierdzić, iż raz jeszcze powtórzył się ten sam eksperyment co w Niemczech i Korei. Sztuczna linia podziłała, przecięła przez samo serce narodu, linia wymierzona nie jego interesami, lecz międzynarodowym układem sił, w obronie pokoju światowego. Tak, to prawda, ani ten, ani żaden inny równoleżnik nie uzasadnia podziału Wietnamu, ani żadnego innego narodu, jakkolwiek względem pokoju światowego tłumaczy konieczność szukania form kompromisowych. Po dziesięciu latach wojny kompromis ten był jednak jak najbardziej uzasadniony także i sytuacją ludności Wietnamu. Ale siedemnaście równoleżnik musi być uważany tylko za czasową podstawę zawieszenia broni i przegrupowania sił. Cały jej sens opiera się o międzynarodową gwarancję przeprowadzenia za rok wyborów, które ostatecznie zjednoczą kraj i określą jego przyszłe oblicze.

Tymczasem po obu stronach tej linii ustawiły się siły, które brały udział w dziesięcioletnim zmaganiu. Po jednej stronie, północnej, wiadomo, zwycięskie siły narodowo-wyzwoleńcze pod wodzą demokratycznego rządu prezydenta Ho Chi Minha. A po drugiej? Kolonializm? Nie, kolonializm na tej wojnie moralnie zbankrutował i nikt już nie chce go

tam reprezentować. Zresztą zażarta walka o wpływy polityczne wśród państw kapitalistycznych każe szukać jakiejś „neutralnej” firmy, która by stworzyła możliwości „wolnej konkurencji” wobec południowego Wietnamu. W południowej strefie musi więc rządzić reżim, który by miał firmę wietnamską, a orientację „atlantycką”.

Zbudowany przez politykę kolonialną reżim cesarza Bao Daia nawiązywał wprawdzie do minionych tradycji, ale był moralnie doszczętnie skompromitowany. Różnorakie sekty religijno-polityczne, oplacane i zbrojne kolejno przez Japonię i Francję, nadają się wyłącznie do celów dywersyjnych. Rządzić za ich pośrednictwem, nie kompromitując się ostatecznie wobec świata, nie podobna.

Wobec takiego stanu rzeczy powstał w Saigonie rząd Ngo Dinh Diema, zaufanego człowieka amerykańskiej dyplomacji, fanatycznego wroga wszystkiego, co francuskie, nado polityka dysponującego opinią czolowego działacza katolickiego. Wprawdzie Diem nigdy poważniejszej roli w katolicyzmie wietnamskim nie odegrał, niemniej jest faktem, że pochodzi z katolickiej rodziny, zamożnej i wpływowej i że jego brat Ngo Dinh Tuc jest od 1938 roku biskupem wikariatów Vinh Long w południowym Wietnamie.

„Atut katolicki” przeszedł więc w ten sposób z rąk kolonialistów francuskich w ręce dyplomata amerykańskiego. Zamiana ta była już przygotowywana od dość dawna, o czym świadczą wizyty kardynała Spellma-

na w Wietnamie i delegacji biskupów wietnamskich pod przewodnictwem Le Huu Thu w Stanach Zjednoczonych. Rząd Diema stał się logicznie spadkobiercą polityki „państwa biskupiego Phat Diem” i nic też dziwnego, iż biskup Thu znalazł sobie w południowym Wietnamie tak przytulne schronienie.

Wynika z tego jednak zupełnie jasno, że klasa militarna w północnym Wietnamie i pańciczna ucieczka odpowiedzialnych za politykę kolaboracji nie zamknęły jeszcze w sposób ostateczny rozdziału o nadzyciu katolicyzmu w tym kraju. W pewnej mierze zmienił się tylko nadzyciający ogólna orientacja pozostaje nadal ta sama.

W SZELKIE rozważania nad przyszością katolicyzmu w Wietnamie muszą opierać się więc o te najbardziej zasadnicze przesłanki tak w latach wojny, jak i obecnie prowadzona jest tam zdecydowana polityka angażowania całego autorytetu katolicyzmu przeciw walce narodowo-wyzwoleńczej.

Mechanizm działania tej polityki jest najprostszy: mobilizuje się wszelkie dostępne środki, by stworzyć wśród katolików psychozę strachu przed przesładowaniami strony przeciwnej. W następnej kolejności, potęgując stale te psychozy choćby nawet oszczerstwami, wszelkie akty samoobrony przeciwnika przed polityczną dywersją na odcinku katolickim przedstawia się jako akty przesładowań. Wreszcie przekonuje się opinie, że postawa strony przeciwnej wobec katolików będzie w przyszłości jeszcze bardziej bez-

względna i wroga, że przeto nie ma już innego wyjścia, tylko trzeba brnąć dalej, angażować się jeszcze mocniej, jeszcze wierniej trzymać się raz już zawartego sojuszu.

Problem „szantażu na przesładowania” zasługuje dziś na obszernie i bardzo udokumentowane studium. W walce reakcji z siłami postępu szantaż ten bowiem w swej drastycznej formie trwa już co najmniej od półtora wieku. Došlo do tego, że w gmatwaniu konfliktów polityczno-religijnych niezwykle już trudno odróżnić to, co jest przyczyną, od tego, co jest skutkiem.

Nie ulega wątpliwości, że w kraje kolonialnych ruchy narodowo-wyzwoleńcze rosły w przeświadczeniu, że organizmy misyjne służą utwierdzeniu i obronie wyższu kolonialnego. Nie potrzebują chyba wyjaśniać, iż na tym polu jestem przeciwnikiem wszelkich uogólnień i uproszczeń, które tylko grają na korzyść „szantażu na przesładowania”. Jest jednak faktem, że i w Wietnamie powstała ta sama, klasyczna sytuacja.

Niezwykła dojrzałość polityczna ruchu wyzwolenczego spowodowała jednak, iż prowokacja została w poważnej mierze udaremniona.

Mimo iż były ku temu uzasadnione przesłanki psychologiczne — ruch wyzwolenczy nie odpowiedział na politykę kolaboracji aktami walki z katolicyzmem. Pewnie, że w latach wojny były aresztowania wśród księży katolickich. Wszyscy jednak: uczciwi i kompetentni obserwatorzy życia katolickiego na obszarach wyzwolonych przyznają, iż życie religijne rozwijało się, jak na warunki wojenne, zupełnie normalnie. Potwierdzają to wszystkie nasze obserwacje i liczne przeprowadzone przez

nas rozmowy. Rzecz jasna, czynni kolaboranci skłonni są w wielu wypadkach do przedstawiania swych niepowodzeń jako dowodów walki z religią, ale dziś jest już tam bardzo niewiele takich, którzy w tym zakresie wierzą własnym słowom.

Z chwilą podpisania układów genewskich wszyscy działacze katolicki, duchowni czy świeccy, aresztowani pod zarzutem współdziałania z wrogiem, odzyskali wolność, bez względu na ciężar oskarżenia czy wysokości wyroku. Co więcej, zostali z powrotem dopuszczeni do hierarchii kościelnej. Rozmawiałem sam z wikariuszem opuszczonej przez biskupa Europejskiego diecezji, który ma za sobą, ułaskawiony na mocy amnestii po zawieszeniu broni, wyrok dożywotniego więzienia za czynną współpracę z wrogimi siłami zbrojnymi.

Jeśli więc można dziś w Wietnamskiej Republice Demokratycznej stwierdzić, zwłaszcza na niższych szczeblach kadr administracyjnych, dużą nieufność do lojalności politycznej środowisk katolickich, zwłaszcza duchowieństwa, to jednocześnie trzeba też dostrzec nie tylko pełną wolę poszanowania praw nacjej religii przez władze demokratyczne, ale i również daleko idącą troskę o znalezienie p o z y t y w n e g o rozwiązania tego problemu na przyszłość.

MIAŁEM zaszczyt na ten temat trzykrotnie rozmawiać z Prezydentem Ho Chi Minhem. Rozmowy te wzbudziły we mnie głęboki podziw dla ogromu wiedzy i kultury wielkiego przywódcy narodu wietnamskiego. Obywały się one na ogół poza wszelkimi przepiśkami prokółtu, w prostym, skromnym mieszkanku z dala od urzędowej, wspaniałej siedziby. Język tych rozmów był tak samo bezpośredni, jak i przyjęcie. Wiem więc od niego, że zna i rozumie cały proces prowokacji politycznej na odcinku katolickim i jest zdecydowany

wszelkimi sposobami mu się przeciwkować. Wiem również, że docenia rolę katolików w Wietnamie i da im szanse odnalezienia dla siebie miejsca w nowej rzeczywistości wyzwolonego narodu. Wiem wreszcie z innych moich rozmów, że stanowisko to jest wspólne dla całego kierownictwa Republiki Demokratycznej i stanowi obowiązującą wytyczną działalność: Frontu Narodowego. Tak samo więc jak ruch narodowo-wyzwoleńczy umiał w czasie wojny uniknąć prowokacji, jaką stanowiła kolaboracyjna postawa wazkiej części społeczności katolików, tak i dziś umie on pokrzyżować manewr, realizowany za pośrednictwem polityki rządu Diema.

W nawałe niezwykle trudnych problemów państwowych, jakie niesie powstawanie, dosłownie z niczego, po wyjściu z dzungli, młodego państwa demokratycznego, Rząd Wietnamskiej Republiki Demokratycznej umiał zatroszczyć się o uregulowanie także i problemów katolickich. Ogłoszonym niedawno dekretem o wolności wyznania i sumienia daje działalności religijnej wszystkie podstawowe gwarancje, jakich się ma prawo spodziewać Kościoła katolickiego. W centralnym problemie losu własności kościelnej, w planach reformy rolnej rozpatrywane były, w czasie mojej obecności w Wietnamie, jak najbardziej pozytywne i rzeczowe rozwiązania. Uwzględniające całą specyfikę Kościoła w warunkach misyjnych. Wszystkie inne, nie rozwiązane jeszcze problemy, mają tedy pełną szansę znalezienia pozytywnych rozstrzygnięć. ale...

...Ale katolicy Wietnamu muszą się sami do nich przyłożyć. Muszą nade wszystko chcieć znaleźć swe miejsce w Republice Demokratycznej. Reżim Diema na południu ma na celu temu przeszkodzić.

SYTUACJA premiera Ngo Dinh Diema na odcinku katolickim nie jest bynajmniej wygodna. Główne i najbardziej czynne ośrodki życia katolickiego skoncentro-



# Meldunki radosne (2)

Wspokół nawet najprzejrzystym planami. To dobrze. Trzeba pytać i trzeba odpowiadać. Niechaj dzieje się prawda. Niech konkretna prawda przez usta młodych gości powędruje do dalekich krajów, gdzie zastępowano ją ogólnikami lub nieuczciwymi w swej falsyfikatorskiej tendencji dwuznacznikami.

Ciesz się, jeśli możesz, cieszą konkretnie formy zbliżenia między nami i katolikami innych krajów. Umocniając tę przyjaźń zadzierną, niechaj więc, widzimy jednocześnie, że wszyscy nasi goście — podobnie jak my — rozumieją wagę i wartość, która obejmuje także ludzi innych światopoglądów. W serdecznej atmosferze festiwalu dzieje się wielka, mądra prawda o wspólnocie ludzi, których różni poglądy na świat, ale którzy są jednego zdania, jednej myśli, jeśli idzie o pokój dla świata, o prawo do twórczego rozwoju.

Festiwal warszawski jest nie tylko poglądową lekcją internacjonalizmu, jest także — i podkreślić to trzeba jak najmocniej — konkretną, mądrą lekcją wieloświatopoglądowej wspólnoty obozu, który musi być wielki jak świat, bo walczy o istnienie świata.

6 sierpnia.

**P**RZEDZIWNY i przebogaty jest kalejdoskop festiwalowy! W jedną całość splatają się wrażenia i przeżycia tak różne i tak jednocześnie mocno ze sobą zespolone wspólną im atmosferą zborowego zaangażowania, że i pisać o nich łącznie jakoś się nie daje, i oddzielnie segregować we wspomnieniu też trudno.

Choćby ten dzień dzisiejszy! Już wczoraj planowałem sobie niesmiało (bo jak tu planować notatki robione „na gorąco”, zadowolony od intensywności, pośpiechu, wróżenia?), że pętlę w swoich zapiskach refleksje, które w każdym z nas wywołuje surowa dziesiąta rocznica pierwszego wybuchu bomby atomowej. I filmy japońskie, które oglądałem („A jednak żyjemy” oraz „Dzieci Hiroshimy”), i dzisiejsza manifestacja młodzieży świata przeciwko broni termojądrowej, za utrwaleniem pokoju między narodami, nastroiły mnie do napisania kilku słów o wielkiej zbrodni i wielkiej nadziei świata współczesnego.

Mam godzinę wolnego czasu (dochodzi w tej chwili wpół do ósmej), siedzę w swojej ulubionej kawiarni „Niespodziance”, by wybrać się na dwudziestą pierwszą do Pałacu Kultury i Nauki, gdzie pokażą swój galowy program przyjaciele hinduscy. Trudno mi jakoś w kawiarnianym rozgwaru ujmować w słowa myśli o sprawach ważnych, jak życie i śmierć. Odłożę ten zamiar do czasu, gdy otoczy mnie cisza mojego pokoju, obmurowanego ścianami książek.

„Ale teraz — korzystając z chwili wolnego czasu i wolnego stółka — rozgrzany inną imprezą, a jednocześnie ostudzony już trochę mazragiem muszę choćby w największym skrócie sporządzić przynajmniej szkicowy stenogram dzisiejszego popołudnia sportowego. Nie mogłem bowiem opuścić dzisiejszych zawodów lekkoatletycznych. Ściągnęły mnie na stadion CWKS-u nie tyle (interesujące zresztą) finały oszczepu, skoku o tyczce, sztafet 4 x 100 i 4 x 400 m czy 1500 m, ile oczekiwany przez wszystkich z ogromnym zainteresowaniem już od początku igrzysk sportowych bieg na 5 km. Stadion był nabit do ostatniego miejsca, w przejściach stała zbita

ciężka amatorów wielkiej emocji sportowej. Bo też rzadko zdarza się widzieć bieg tak pięknej czołówki długodystansowców świata: Zatopek, Kovacs, Iharos, Ullsperger, Szabo, no i nasz Chromik, Chromik, który... ale nie przedzamyj wypadków.

„Już od startu tłum zafalował podnieceniem, rozszeptał się komentarzami, rozkrzyczał radami. „Po co ten Chromik idzie na prowadzenie?” „Uwaga, Zatopek będzie atakował!” „Patrzcie, Iharos oszczędza się na finisz!” „Zobaczcie, Węgrzy tworzą koalicję!” „Kovacs wyduża krok!” „Chromik,

kazała mu się oszczędzać, zmieniać prowadzenie. Publiczność błagała go, by pamiętał o lepszym finiszu Iharosa, Ullspergera, Zatopek, Kovacs, o zapasie sił na ostatnie okrążenie. Ale Chromik był mądrzejszy od publiczności o całą swoją wolę zwycięstwa, o hart kandydata na mistrza. Nie ustępował z czołówki, dyktował tempo, organizował zrywy, elastycznym pięknym krokiem biegi ku swojej wizji wymarzonego zwycięstwa.

Czołówka wyraźnie oderwała się od reszty. Przez pewien czas utrzymywał się w niej Zatopek. Ale na dystansie biegu pięciokilometrowe-

nie poprawiał Zaraz ich będzie więcej! Wychodzą na przeciwległą prostą! Chromik ciągle na przedzie! Wiraż! Znowu atak Iharosa! Znowu odparty! Chromik wyduża krok! Płynię! Fruwa! Gna! Ostatni wiraż! Znowu atak Iharosa! Dochodzi Chromika! Mi... Nie! Nie mija! Ostatnia prosta! Do mety sto metrów. Jakis zrozpaczony porucznik wali mnie w zębra i lamentuje, że Iharos „weźmie” Jurka. Ryzykuje jak opętany. I mnie ryk rozpycha gardziel. 70 m! 60! 50! 40! Widownia już nie krzyczy! Rzezi! Chce wyzwolenia! Wyzwolenia przez zwycięstwo. 30 m! 20! Chromik ostatnim, bohaterskim zrywem odrywa się od Węgry. Metr. dwa, trzy metry przewagi! Już! Już! Jest!!! Wygra!!! Wygra!!! Za nim wpada Iharos, Kovacs, dalej Szabo, potem Krzyszkowiak, wreszcie Zatopek. I reszta.

...Tak. W tym miejscu sprawozdawcy radiowi mają ułatwione zadanie. Po prostu przestają mówić. Radiodbiornik długo dygocze burzą okrzyków, okłasków, braw. Ja musiałbym to wszystko opisać. Rezygnuję. Nie dam rady. Choćbym podał wam dziesiątki szczegółów, będzie to tylko jeden szczegół, jeden fragment tego, co się działo. Entuzjazm jako żywioł. Wyzwolenie salezjanek uniesienia. Porucznik ciałował mnie, klując w ucho zarostem na brodzie. Jeden z porządkowych dyszał blady jak ściana i próbował drżącymi rękami zapalić papierosa... Ja z zawstydzeniem schodziłem z pleców opasłego jegomościa, który chichotko, nie wiedząc czemu chichotał jak ktoś niespełna rozum i powtarzał raczej bez związku: „No dobra, rany boskie, no, dobra...” A potem, gdy Chromik podbiegł do trybun, by przyjąć gratulacje od przewodniczącego GKFF Włodzimierza Rezka — kilkadziesiąt tysięcy widzów odpiewało długie i gromkie „Sto lat”...

Powoli, bardzo powoli opadała fala uniesienia. Porucznik snuł głośne i radosne obliczenia nadziei: „To może trzy razy usłyszymy nasz hymn. Chromik to raz, Sidło — to dwa, a tyczka — może trzy...”. Gdy ogłoszono nieoficjalnie, że czas Chromika jest niżej 14 minut znowu eksplodowały okrzyki.

Niestety, nie mogłem czekać do końca. Przybiegłem tu, by sporządzić jeszcze jeden meldunek. Nie znam dokładnego czasu, nie wiem, czy porucznik dobrze obrachował nasze hymny, nie dowiem się tego nawet dzisiaj, bo wrócić do domu po północy. Ale to nieważne już w tej chwili. Użyłoby mi gdy powierzyłbym kartkom notatnika swoje (i nie tylko swoje) wzruszenie.

Jeszcze do jednego muszę się przylać. Wychodząc ze stadionu stanąłem na chwilę przy stoisku z fotografiami sportowców. Sprzedają je tutaj zagorzałym kibicom. Gdy szedłem na stadion — trochę sobie podkiwiałem z tego pomysłu. W myśli ukulem nawet dowcipne powiedzonko o sportowej ikonografii. Ale po biegu na 5 km, po wspaniałym zwycięstwie naszego Chromika jakoś moje zastrzeżenia zamyłały — trochę (nawet nie wiem czemu) zażenowany — kupiłem sobie jego fotografie. Z wdzięczności za piękną walkę, za piękny triumf, za to, że jeden raz więcej zabrzmi hymn polski na stadionie, po prostu za to, że dzięki swojemu hartowi, am-

bić i pracy ofiarował dziesiątkom tysięcy ludzi, ba, chyba milionom, jeśli policzyć tych przy radiodbiornikach, piękne wzruszenie.

Myślę, że redakcja powinna to zdjęcie włożyć do moich notatek, bo...

Muszę jednak przerwać. Jest 20,30. Czas na Hindusów...

7 sierpnia, rano.

**A** WIĘC — to już druga niedziela festiwalu. Minał bogaty, naładowany po brzegi barwnymi przeżyciami tydzień. Muszę przyznać, że chociaż mam końskie zdrowie, a wśród kolegów po piórze cieszę się lekceważąc przeznaczoną mi sławą maszynki do robienia artykułów — czuję się trochę wypompowany w roli sprawozdawcy. A tyle jeszcze byłoby do napisania! Tyle wrażeń, imprez, widowisk i zebrań! Nie dam rady. Pałeczkę w sztafecie sprawozdawczej powinien przejąć na półmetku ktoś inny. Spójrz świeższymi, więcej może widzącymi oczami. Zanim kto inny przejmie pałeczkę, chciałbym chociaż niejako „w biegu” podsumować dotychczasowe przeżycia, pokusić się o częściowe przynajmniej uogólnienie bogactwa festiwalowych dni.

Zosi nie ma w Warszawie. Wyjechała wczoraj do Częstochowy, wioząc tam razem z Adą Borkowską grupkę katolików francuskich, którzy przyjechali do Polski z księdzem André Chérier. Zwiędza klasztor na Jasnej Górze i wrócić chyba dzisiaj po południu lub jutro rano.

Ja też — trochę dla złapania oddechu, a trochę dla zdobycia choćby minimalnego dystansu — opuściłem Warszawę. Mam więc okazję na zielonej trawce, w słońcu, spokojnie pomyśleć o siedmiu dniach tłustych, po których nie nastąpi siedem dni chudych, lecz nowy bogaty tydzień festiwalu. Spróbuję zaokrąglić swoją relację, by mojemu następcy łatwiej było kontynuować pracę.

Pisałem już, że warszawskie spotkanie młodzieży świata jest nie tylko zabawą, lecz i demonstracją, nie tylko festywną radością, lecz i walką o radość, nie tylko tańcem, śpiewem i uśmiechem stu narodów, ale ich lepszym poznanie, głębszym zrozumieniem, serdeczniej zadzierzgnięta przyjaźnią. Pisałem także, że festiwal jest ukonkretnioną lekcją geografii pokoju, poglądową lekcją rzetelnie pojmnowanego internacjonalizmu, wreszcie lekcją mądrą i poszerzoną na skalę światową zasady wieloświatopoglądowości jako rękąmi prawdziwego zjednoczenia świata, który walczy chce o szczęście i radość, o pokój i ciągły rozwój świata. Pisałem także i o tym, że my katolicy społecznie postępowi odnaleźliśmy w festiwalu potwierdzenie łączności ogromnej części młodzieży katolickiej wszystkich krajów, stojącej w milionowych szeregach obrońców pokoju, w szeregach bojowników o prawo do radości, prawo do pracy, do ciągłego doskonalenia świata i człowieka.

To wszystko jawiło nam się nie w hasłach wykonanych przez teoretyków zbawiania ludzkości, lecz w barwnych faktach życia festiwalowego.

Wszystkie te prawdy nie wyja-

śniają jednak sprawy warszawskiego spotkania do końca. Zastanawiam się wczoraj, co jest główną, utajoną siłą wielkiego ruchu pokojowego młodzieży. I wydaje mi się, że przynajmniej ogólne wyjaśnienie leży w pozornie paradoksalnym stwierdzeniu: siła zwycięskiej młodości, to jednocześnie zdolność zapomnienia okrucieństw wojny i pamiętanie o grozie, jaką dla ludzkości jest każda, zwłaszcza współczesna wojna.

Tak, zdolność zapomnienia, bo niemożliwe byłyby festiwalowe zabawy, korowody taneczne, kaskady pieśni i śmiechu, z wizją Oradour, Oświęcimia, Hiroshimy i Nagasaki pod powieką. A jednocześnie zdolność pamiętania, bo festiwal nie byłby tym, czym jest, nie byłby walką, manifestacją i pokojową mobilizacją młodej ludzkości, gdyby w zabawach festiwalowych, korowodach tanecznych, kaskadach pieśni i śmiechu nie uczestniczyła jakoś pamięć o Nagasaki, Hiroshimie, Oświęcimiu i Oradour. Oczywiście wyjaśnienie tego paradoksu nie jest proste, ale da się sprawa dzielić do jednego. Szukam przez chwilę odpowiedniego określenia, wreszcie znajduję: radość życia. Tak, to radość życia pozwala, ba, nakazuje mądrą zapomnienie o okrucieństwach zbrodniczych wojen. Bo radość życia to twórczość, to praca, miłość i ciągły rozwój, pragnienie szczęścia, umiowanie pogody i słoneczności spraw ludzkich.

Tak, to ta sama radość życia nakazuje mądrą pamięć o dokonanych zbrodniach, by nie tylko występować przeciwko nim w surowym proteście, lecz także likwidować ich grozę w zdecydowanej, zwycięskiej walce.

I ta sama mądra radość życia ustala rozsądną granicę, rozsądną zależność między prawem zapomnienia i obowiązkiem pamięci, między prawem do zabawy i obowiązkiem walki, prawem swobodnego uśmiechu i czujnością przyjaźni dłoń, która nie chce zaciskać się w zbrojną pięść.

To chyba najistotniejsza prawda festiwalu. Nie ma w niej nic z bezrozkiem pisanym krótkowzrocznej bezmyślności, jest natomiast wiele z dojrzałego uśmiechu świata, który — poznawszy gorzki i ból — ceni uśmiech i potrafi bronić swoich do niego praw.

7 sierpnia, północ.

**Z**OSIA wróciła już z Częstochowy. Zmęczona — śpi kamieniem snem.

Muszę, aby nie zakłamywać tych notatek niedomówieniami, dopisać jeszcze jedno: radość życia, o którą walczy festiwal to także spokojny sen naszych żon, matek, wszystkich ludzi, bliskich i dalekich. Radość życia, o którą walczy festiwal, to także pogodny przebudzenie i wyjście naprzeciw twórczym dniom, które — pełne trudów, nie raz bardzo ciężkie — są drogą ku bogactwu świata i człowiekowi, bogactwu, w którym objawia się nie tylko człowiek i świat...

Minęła północ. I mnie już sen skleja powieki. Czas kończyć, przyjaciele.

Pomyślcie przez chwilę, jaki ogrom treści zawiera jedno zdanie: znowu zaczyna się dzień...

Biogłosywały wszystkie dni swoją radością i walką. Jeśli festiwal jest walką o radość życia, nie skończy się za tydzień. Nie może się skończyć.

Niech trwa.

Zygmunt Lichniak



zobaczcie, jak Chromik lekko ciągnie!

A biegacze powoli (ładnie „powoli”, świadczą o tym wspaniałe międzyczasy) odwijają ze spulni wysiłku kilometr za kilometrem...

Psiakrew! Ze też nasza literatura sportowa jest taka bidna! Ciągłe brak Pindara. Och, jakby się przydał! O tym biegu można by napisać poemat, a przynajmniej porywające opowiadanie. Temat czerka, temat wola o pisarza. Zlitujcie się, pisarze! Nad literaturą sportową. Nad sobą. Nad czytelnikami. Nad tematem.

...No, długo poczekamy i chyba się nie doczekamy. Więc z konieczności powróćcie trzeba niewprawnym piórem do porwijającego tematu. Zamiast ballady o Chromiku musimy poprzestać na kawiarnianej notatce.

Więc — Chromik zdenenerwował na początku publiczność. Publiczność

go, wyraźniej niż we wspaniałym biegu dziesięciokilometrowym z pierwszego dnia zawodów, gdzie odniósł bezapelacyjne zwycięstwo, zaznaczył się w Zatopeku brak szybkości, zarysowała się piękna tragedia młodości, która jednak opuszcza i najwspanialszych sportowców. Zatopek nie wytrzymał tempa czołówki. Wkrótce wyprzedził go — dzięki sile ambicji i uskrzydleniu młodzieńczych lat — dopingowany przez Polaków Krzyszkowiak.

Dziesiątki tysięcy oczu przylgnęły do czołowej szwórki. Tu Chromik sztykował się do ostatecznej walki z koalicją węgierską, z Iharosem, Kovacsem i Szabo. Gdy zaczęli ostatnie okrążenie — stadion rozchuchał jednym, wielkim ekstatycznym krzykiem. Węgrzy atakują Chromika! Smukły Iharos usiłując objąć prowadzenie! Chromik odiera atak!!! (Nie dziwcie się ilości wykrzykników! Niech korektor

nie wynosi od dwustu do trzystu tysięcy.

Liczba sama w sobie jest bez wątpienia poważna, gdyż wynosi mniej więcej jedną czwartą ludności katolickiej w Polsce. Jest niewspółmierna do odpływu duchowieństwa, którego odeszło trzy czwarte. Ewakuacja odbywała się częściowo, tak jak w rejonie Haifongu, pod bezpośrednią presją administracyjną. Częściowo objęła ludzi skompromitowanych uprzednią kolaboracją. Częściowo jest jednak masowym ruchem ludności, zwłaszcza wiejskiej. Nad tym problemem trzeba się chwilę zatrzymać.

Co oznacza ta tragiczna emigracja, bezsensowna, śmiertelnie niebezpieczna dla wielu, bezdziejna dla wszystkich? Szukałem zapamiętane odpowiedzi na to pytanie, odwiedzając regiony najbardziej podminowane tymi nastrojami, rozmawiając długo z kandydatami na wyjazd w obozach przejściowych, skąd władze demokratyczne, najzupełniej lojalnie i zgodnie z przepisami, odsyłały emigrantów na południe. Odwiedzałem miejscowości, gdzie na tle tych ruchów doszło do incydentów: Phat Diem, Ba Lang.

Jest faktem niezaprzeczalnym, że przytłaczająca większość tych emigrantów — to ludność katolicka. Gdy się jednak pytać o przyczyny wyjazdu, nie ma na ogół odpowiedzi, lub też jest zupełnie bez znaczenia. Jadą tam jedni, bo pojechali inni. Spotkałem się jednak wielokrotnie z odpowiedzią o argumentacji religijnej, zaczynając od słynnego „Matka Boska posłała na południe”, kończąc na realistycznym „Kto nam będzie dzieci chrzczył i ślubu udzielał, skoro ksiądz poszedł?”

**S**YNTENZA moich spostrzeżeń pozwala jednak na następującą zwięzłą odpowiedź na pytanie, co oznaczał ten ruch: Ruch ten był od dawna organizowany przez agentów Diema, w okresie wojny wspo-

waty się w Tonkinie, na północy. Na południu, jak już wspominałem, katolicy żyją w mniejszych skupiskach, mniej się wyodrębniają. Dawny układ polityczny spowodował nadto, że większość diecezji znajduje się w rękach biskupów francuskich (czterech Francuzów, jeden Hiszpan i jeden Wietnamczyk, brat premiera). Świadomość narodziła katolików z południa jest znacznie większa niż na północy, a co za tym idzie — ich aktywna obecność w obozie wyzwoleniczym również znacznie wyraźniejsza. Wreszcie „katolicki” rząd Diema jest paradoksem wobec faktu, iż katolicy są wyrazną mniejszością — stąd niechęć do niego i sekt, i w ogóle innych społeczności religijnych na południu.

W tych warunkach Ngo Dinh Diem miał przed sobą tylko jedną drogę — tę samą, którą próbował iść biskup Thu: walczyć prowokacjami o skłócenie katolików z ruchem narodowo-wyzwoleniczym na północy i stać się na południu rządczynią tej orientacji. Jego sprzymierzeńcami stali się więc przede wszystkim ci biskupi, ci księża, którzy z północy uciekli. Tymaczy to dobitnie polityczne kulisy tej dezercji, o której mówiłem w poprzedniej korespondencji. Wyjaśnia to też sytuację katolickiej diecezji Haifong, ostatniego obszaru ewakuowanego przez wojska francuskie w maju tego roku, gdzie pozostało 10% księży, sami starcy, i 30% wiernych. Wbrew przepisom układu, do ostatniego dnia wywierano tam presję moralną i fizyczną na ludność, by zmusić wszystkich do ewakuacji na południe. Rzeźwiście, diecezja pozostała bez biskupa, bez duchowieństwa, niektóre kościoły zostały wręcz opuszczone ze wszystkiego. Część katolików odeszła na południe, ale pozostała trzydziści procent wiernych pozbawiono właściwej wszelkiej opieki duchowej. Zastanawiający jest fakt, że na ten stan rzeczy, tak głęboko sprzeczny z interesem katolicyzmu, nie zareagował nikt z

hierarchii kościelnej, ani w Hanoi, ani w Rzymie. Istnieje zresztą poważne dane na to, iż postępowanie władz kościelnych w Haifongu, tak jak i w innych diecezjach na północy, było sprzeczne również z zaleceniami, jakie w tej sprawie wydał sam Ojciec Święty.

Na przełomie 1954 i 1955 roku cała propaganda reakcyjna na Zachodzie rozbrzmiewała alarmowym krzykiem na temat masowej ucieczki katolików ze strefy północnej do południowej. Była to odpowiedź Diema i polityki amerykańskiej na układy genewskie i na przekreślenie ich poprzednich planów. Propaganda ta wolała o sześciuset tysiącach, o osmiuset tysiącach, nawet o milionie uciekierów, którzy w najpotworniejszych warunkach przedzierają się z krzyżem w rękę do południowego Wietnamu. Masowa ta emigracja miała na celu zdyskwalifikować moralnie rządy demokratyczne na północy, dać oczywisty dowód terroru, pod jakim mieli tam żyć katolicy, a jednocześnie podnieść prestiż rządu Diema wobec opinii świata. Oczywiście, emigracja ta miała także przysporzyć Diemu zwolenników na południu, dać jego wojsku zaufanego rekruta, wiernego sprzymierzeńca dla polityki odwetu.

W istocie udało się agentom Diema wzniesić w tym okresie pewien ruch emigracyjny z północy na południe. Cyfry zostały, rzecz oczywista, niesłychanie przesadzzone, a sprawdzenie ich nie jest dziełem łatwym w kraju, gdzie ewidencja ludności na ogół nie istnieje. Propaganda Diema zaliczyła do emigrantów katolickich z północy wszystkich ewakuowanych Wietnamczyków: urzędników państwowych, milicję, ich rodziny, środowiska kapłanów, szukające schronienia pod opieką wojska amerykańskiego. W rzeczywistości w skrydłach reżimu saigonskiego. W istocie wydaje mi się, choć cyfry są trudne do ustalenia, że łączna liczba katolików ewakuowanych z północy na połud-

maganych jeszcze przez wojskowy aparat dywersyjny. Celem jego jest stałe zastrzeżenie stosunków między katolikami a obozem demokratycznym, ale również, jak wspominałem wyżej, zapewnienie Diemu popleczników, rekrutów, a także robocizny na plantacjach. Dla zorganizowania wykorzystano z dużym sprytem najróżniejsze argumenty:

Argument religijny, którym szeroko szafowali także i niektórzy księża, mianowicie, że należy iść za przykładem biskupów i proboszczów, że wierni pozostaną na północy pozbawieni opieki religijnej, no i wreszcie odwołanie się do nawiętej gorliwości tych, którzy uważają rzeczywistość, że „Boga tu już nie ma”!

Argument strachu — szafowanie niebezpieczeństwem trzeciej wojny, o groźbie rzucenia na te obszary bomby atomowej, zupełnego zniszczenia ludności.

Argument głodu — rzeczywistość w niektórych stronach, na skutek zniszczeń wojennych i złych zbiorów, ludność niedojada. Nim zdolano zmobilizować pomoc, udało się poruszyć ubrą ludność wizją legendarnie żywności południa („gdzie ryz sam rośnie jak trawa”), obietnicą ziemi, bawołu i pomocy amerykańskiej.

Długo jednak szukałem wytłumaczenia, dlaczego na argumenty te pozostaje nieczuła ludność niekatolicka. Oczywiście, współdziałanie części duchowieństwa w tej kampanii odgrywa rolę bardzo poważną. Obok tego jednak istnieje także i moment socjologiczny.

Otóż społeczeństwo katolicka jest na każdym szczeblu znacznie bardziej zżarcię zorganizowana niż każda inna w Wietnamie, stąd też łatwiej ją kierować i wywierać na nią określony wpływ. Nie jest również związana z ziemią tak bardzo kultem przodków, jak buddyści. Pro-

paganda Diema wreszcie przedstawiała swój reżim jako katolicki, zapewniała więc solidarność i opiekę, na którą inne wyznania mniej mogły liczyć. W tych warunkach we wsłach katolickich ujawnił się ciękawy proces klasowy: chłopci bogaci, dotknięci przeprowadzaną reformą rolną, pociągali za sobą na emigrację uboższą ludność. Pragnęli oni zdezorganizować reformę rolną, a jednocześnie stworzyć sobie na południu oparcie, zapewniające możliwość powrotu pod osłoną wojsk Diema.

Oto w największym skrócie kulisy owej głośnej „emigracji katolickiej” na południe. Rząd demokratyczny ujawnił sens manewru Diema, a psychozę ucieczki opanowano bardzo spokojną i rozsądną akcją perswazji. Nade wszystko jednak na uspokojenie się tej masowej hysterii wpłynęły tragiczne doświadczenia samych emigrantów, wziętych zaraz po wyładowaniu w Saigonie w dwa ognie toczące się tam wojny domowej i pozbawionych realnej pomocy materialnej.

Niemniej wstrząsające od rozmów z kandydatami na wyjazd były bowiem rozmowy z powracającymi niedobitkami. Wrócili jeszcze bardziej wynędzniali, wzrok przgaszony, głos cichy i smutny. Tragiczny rozbitkowiec zyciowi. Na wyjazd sprowadził cały, marny dorobek życia. Grosze rozeszły się w drodze, lub, nierzadko, zostały zarabowane na miejscu. Tygodnie lub miesiące oczekiwania po barakach czy po prostu pod rozpalonym gołym niebem. Przeżycie zawodu, nieraz strata najbliższych.

Tak powracali te smutne korowody, niepewne, czy jeszcze po tym wszystkim nie czeka na nie kara!

Ale kara na nich nie czekała. Szczęśliwowie i surowe instrukcje rządu nakazywały chronić mienie wyjeżdżających. Nie wolno było nikomu tknąć ich pola, zająć ich domu. W wielu wypadkach władze

przychodziły jeszcze z materialną pomocą tym prawdziwym synom marnotrawnym.

Ile jednak nieszczęść, ile szkód poczyniła wśród tych prostych, naiwnych nieraz ludzi ta cyniczna, wyrachowana kampania.

Nie wiem, czy kiedykolwiek zdolam zapamiętać tę filmową, ale jakże prawdziwą i ludzką scenę, ujrzaną w Haifongu. Na pustym nadbrzeżu portowym (było to parę dni po przejęciu miasta), pod upalnym słońcem, bez krzyku, siedziała w kucki ciemno ubrana wieszniczka. Na małym zawiniątku siedziało drobne dziecko, zabawiające się obojętne jakimś drobiazgiem. Kobieta zalewała się łzami, lamala ręce i rozpaczliwie coś tłumaczyła paru robotnikom portowym. Oto mąż pojechał do Haifongu, by zatawić jakiś interes. Nie wrócił do domu i zamieszkała kobieta przyszła go szukać. Może chore? Tymczasem okazało się, że zabrano go na statek i zawieziono do Saigona z ostatnią partią emigrantów. Cóż ona sama pocznie? Została z dziećmi, bez środków do życia. Oto czeka tu już trzech dni; może przywiezie go jakiś statek, może ją weźmie i zawiezie do niego, choć sama nie wie gdzie? A tu pieniądze się skończyły i już zupełnie nie wie, co począć!

I żyj duże jak groch ciekną po zoranęj zmarszczeni, spracowanej i bolesnej twarzy. Słuchacz, zakłopotani i zmartwiwieni, są tak samo bezradni, jak i ona. Ktoś przyniósł kubek wody, ktoś dziecku podsunął banan.

A morze jest puste aż do widnokręgu, i żaden statek nie zbliża się dla utulenia bólu tej nieszczęśliwej „Butterfly” naszych czasów!

Wojciech Kętrzyński



# SPOTKANIA



*En espérant que les  
lecteurs de  
DZIS JUTRO  
seront satisfaits  
de notre travail*  
*Jacques Fabbri*

**C**ZASEM przychodzi moment, kiedy żadne udawanie na nic się nie przyda, człowieka ogarnia wzruszenie, broni się przed nim przez czas pełen na próżno, a potem może mu się jedynie poddać, nie ma rady. Zdaje się była to chwila, gdy na maszy uciążono chorągiew Światowej Federacji Młodzieży Demokratycznej. Nie byłam jednak osamotniona w tym nagłym odejściu od pozy, kłopotliwym, chłodnej rezerwy, scentyzmu itd., czyli tego wszystkiego, co tworzy nasz pancierz ochronny przed innymi ludźmi. Wysoki, chudy dziennikarz angielski rozparty nieśmiało jeszcze niedawno na swoim miejscu — stał teraz równo, jego twarz skurczyła się w nagłym skupieniu i uwadze, Dziennikarzowi egipskiemu w skromnym zawoju na głowie i białych pantalonach dziwnie błyszczały oczy, chociaż wydawały się matowe, gdy unosił się przed chwilą z aparatem filmowym. A po maszynie nerwowymi skokami wspinał się ku górze błado-niebieski sztandar, aż wreszcie dosięgnął szczytu. Wzruszenie nadeszło wraz z ciszą, która napelniała nagle rozkrzyczaną misę stadionu. Cisza ta wydawała się mieć właściwość prądu elektrycznego, przebiegała przez zgromadzone tłumy, stopiła ich na chwilę w jedno ciało. Stojący za mną młody dziennikarz francuski nachylił się i powiedział cicho:

— Wydają mi się przed chwilą, że jestem obdarzony wraz ze wszy-

stkami duszą zbiorową, jak owady u Maeterlincka, że już „nie należą” tylko do siebie. Czy odczuł pan podobne wrażenie?

„L'Amé collective!” Jakże to zostało świetnie powiedziane! Istotnie, dopóki napywały nowe delegacje i przechodziły z wolna u podnóża trybuny, dopóki olbrzymie boisko przypominało obracającą się z wolna scenę obrotową ukazującą coraz to nowe twarze, ubioru, stantardary i transparenty — byliśmy wszyscy podzieleni na „widzów” i niejako na „wykonawców” programu otwarcia. Ale teraz dno stadionu zniuruchomiło. Byliśmy już jednym ogromnym organizmem śpiewającym hymn młodzieży. Nad głowami przelatują tysiące gołębi i rozciągają się w przestrzeni. Nawet później, gdy wybuchnął gwar i oklaski — klimat tego dziwnego „duchowego połączenia” nie rozwił się jeszcze, wielka misa stadionu znalazła nagle, a ogromny wazon róż wniesiony przez delegację bułgarską wydawał się tworzyć atmosferę zadomowienia... Iluż zaciekle „mondialistów” w historii marzyło o tym momencie, aby móc ujrzeć u swoich stóp, z trybuny, cały świat obracający się wokół jednej idei braterstwa, jak wokół własnej osi. Zaczynająz Ireneé Castel de Saint Pierre, pierwszy autor statutu światowej organizacji zapobiegającej wojnom — jedynie w swych najbardziej szalonych i nieprawdopodobnych ma-

rzeaniach mógł ujrzeć podobny obraz.

Poeta francuski polskiego pochodzenia, Charles Dobrzyński, powiedział po zakończeniu uroczystości:

— Jedno jest pewne i pocieszające, że tak jak ten powiew wzruszenia połączył nas na stadionie, tak są myśli, które przenikają całą dziedzinę sztuki i poprzez książki, film, teatr przyniosą te same twórcze treści. A to jest już wiele...

Czy miał rację? W ciągu kilku dni włożęgi po Warszawie, rozgadanej wieloma językami jak wieża Babel, oanalizem odpowiedź. Oczywiście, idea pokoju, idea wychowania zdrowych moralnie pokoleń nie błąka się gdzieś na peryferiach współczesnej sztuki, podtrzymywana przez kilku zapaleńców, ale znajduje największych twórców, którzy „pragną ją wyrazić w swych dziełach. Myśl zapobiegania wojnom pogłębiła się, wyszła poza szablony i ciasną tradycję. Weźmy chociażby film. Znamięte dzieło André Cayatte'a „Przed potopem” jest wielkim filmem o odpowiedzialności dorosłych za wojnę rosnącą, dojrzewającą w ich dzieciach, w młodzieży w ogóle, podobnie jak niegdyś ustraszający film de Siki „Sciucia” poświęcony był „oficjalnemu” dojrzewaniu zbrodniarzy w państwowym domu poprawczym dla młodzieży. Oczywiście, i w filmie Cayatte'a odpowiedzialność ta sięga daleko, to nie tylko rodzice są winni, ale również

ci, którzy utrzymują nastroj podniecenia i wojennej histerii, redagując nagłówki w gazetach, urządzając lotnicze i „atomowe” alarmy. Jeśli nie rozwieje się nastroj powszechnego lęku — światu przybywać będzie ludzi otepalonych nerwowo, o zmniejszonej kontroli własnych czynów, u których łatwość zabijania będzie wynikiem przerażenia. „Jesteśmy zarażeni śmiercią” — pisał Gotlibow bezpośrednio po zakończeniu działań wojennych, gdy nie ro- wiały się jeszcze dymy ze spalonych domów. Od wypowiedzenia tych słów minęło pięć lat, a jednak film Cayatte'a, którego akcja toczy się w 1950 r., w pierwszym okresie kampanii koreańskiej, przynosi właśnie obraz środowiska młodzieży inteligentkiej, która nie uszła tej zbiorowej infekcji. Oni też są zarażeni śmiercią i wielką zastawą filmu jest ukazanie tragicznej konsekwencji, że droga ku wymarzonej krainie szczęścia wiedzie stąd poprzez morderstwa. Nie pokazano młodzieży lepszej wyjścia. Odebrano im całą nadzieję na to, że nie tylko Haiti może być „zagubionym rajem”, gdzie panuje wieczny spokój i pogoda.

Natomiast inny świetny film francuski, „Les Destinées” (twórcy Marcel Pagliero, Jean Delanno, Christian-Jacque), ukazuje sylwetki kobiet, przez życie których przewalają się wojny, i na te samą sprawę spojrzal od innej strony. Brak w nim tezy, założeń — jest to tylko sam obraz, wierunek, dokument urzekający swą prostotą. Scenarzyści nie silili się na stworzenie skomplikowanej fabuły. W pierwszej noweli dwie kobiety z różnych sfer i krajów jednakowo dotknięte nieszczęściem, którym wojna pozostawiła pustkę i wspomnienia; w drugiej — Joanna d'Arc, kobieta idąca z orężem w dłoń, po to, aby we Francji zapanował pokój; w trzeciej — sylwetka Lizystraty, kobiety, która podniosła bunt przeciw mężczyznom zaprzęgniętem jedynie rozgrywaniami starych i wypowiedzianiem nowych wojen. Ta ostatnia nowela pełna zresztą wybornego humoru.

Weźmy teatr. To było moje trzecie spotkanie festiwalowe, które również „zahaczyło” o problem pokoju i wojny, ale od innej strony, i należy tu się osobne miejsce w moich notatkach. Było to bowiem

spotkanie z zespołem teatru Jacques Fabbri, zwanego ostatnio również teatrem „d'Aujourd'hui”. Jezeli mówilem przed chwilą o dziełach powstających współcześnie, które na problem wojny patrzą przez szkiełko tragizmu — to w tym wypadku należy uprzedzić czytelników i widzów: nie szukajcie takiego ujęcia na scenie teatru Jacques Fabbri. Jest to bowiem scena, na której komizm jest nakażem głównym i najwyższym. Jej zadaniem i założeniem jest wzbudzić na widowni zdrowy, mocny, niejako „molierowski” śmiech. Ale nie zapomnijmy, Stowacki (a przed nim wielu innych) mówił, że „śmiech bywa straszną bronią”. I na scenie Compagnie Fabbri nie brzmi on tak zupełnie niewinne. Uprzedził mnie o tym dyrektor zespołu, p. Jacques Fabbri (pełen wdzięku, tłusty i bardzo miło uśmiechnięty pan w średnim wieku), kiedy skrzywiłem się nieznanie usłyszawszy tytuł sztuki, jaka miała pójść „na pierwszy ogień” — mianowicie „Les Hussards” (Huzarzy) P. — A. de Brelala.

— Sądzi pan, że to taka głupia farsa, prawda? — powiedział Fabbri — otóż życie milego rozczarowania. Tę sztukę ja wystawiłem po raz pierwszy i osiągnąłem niemały sukces, szła bowiem w Paryżu 350 razy. To bardzo zasiliło nasze fundusze, gdyż jak pan zapewne się domyśla, od tej strony nie wyglądamy najlepiej. „Siedzimy” w kieszeni prywatnych osób i każdy upadek sztuki może być dla nas ostateczną katastrofą. Od trzech lat przecież (tzn. od powstania zespołu) błąkam się od teatru do teatru, to gramy w Vieux-Colombier, to des Mathurins, to w Nottambules...

I abbi otrzymał w tym roku zaszczytną nagrodę krytyki francuskiej im. Moliera za inscenizację „Les femmes savantes” (Uczone biatogłowy). Poprzednio nagroda ta została przyznana Vilarowi.

— Czy znajduje pan pewną „prawidłowość” w tej kolejności?

— Najzupełniej — śmieje się Jacques Fabbri — jestem przecież po Vilarze najmłodszym uczniem Dullina. Przed nami był jeszcze Jowet i J. L. Barrault. A Dullina, jak wiadomo, „stworzył” Copeau, czyli wszystko powraca do starego

Vieux Colombier, gdzie narodził się współczesny teatr francuski...

Repertuar teatru Fabbri jest szeroki, a program artystyczny bogaty. Zespół gra Plautusa (współczesny monego nieco przez Claude Santellego), Moliera, wreszcie utwor współczesnego dramaturga, wspomnianego wyżej, pt. „Rodzina Arlekina”. O tym spektaklu krytyka francuska wyrażała się z ogromnym uznaniem. Znalazła w nim zarówno bardzo oryginalny powrót do commedia dell'arte, jarmarcznych rodzajów komediowych, jak i wielkiej tradycji kabaretu. Niestety, nie mogę nie wabrać o tej sztuce powiedzieć, ponieważ jej jeszcze nie widziałem. Natomiast z wielką przyjemnością obejrzałem wspomnianych już „Huzarów” zyjącego autora P.-A. Brelala. Jesteśmy zupełnie niezyci z francuską komedią nawiązującą do tradycji farsowych, i początkowo widzów polskich raziła gwałtowna gestykulacja i mimika aktorów, rubaszny śmiech, szablonowe typy: tchórzliwy kupiec — ojciec, dzielna dziewczyna z ludu, komiczny jakąka itd. Ale na pewno przekonały wszystkich dwie doskonale sylwetki huzarów francuskich w małym włoskim miasteczku (rzecz się dzieje w czasie pierwszej kampanii włoskiej Bonaparte'a), świetnie narysowane przez autora i zagrane z wielkim talentem przez Jacques Fabbri i André Gille. Dwóch ludzi, którzy najpierw mają rozkaz rozstrzelać włoskiego chłopca (oczywiście, nie dochodzi do tego), a w chwili później im samym to grozi. Świetna satyra na nonsens bezdusznej maszynierii wojskowej, która wymaga od żołnierzy wyzbycia się ludzkich cech i przymiotów. Wiele komicznych sytuacji, wymierzanych policzeków, kociłkowania po scenie i ognistych pocałunków. A wreszcie pod sam koniec delikatny powiew żalu i smutku. Wojsko odchodzi z miasteczka, dziewczyna nie rozumie, dlaczego żołnierz musi ją zostawić, kto może przemierzać mu obce ziemie i w imię czego to czyni. Nie wiedzą tego sami żołnierze. Rytmicznie powtarzany okrzyk: „Vive Bonaparte!” brzmi jak ironia.

Powróćmy jeszcze do zespołu Jacques Fabbri, nie trzeba zapewniać, z wielką przyjemnością. Konrad Eberhardt

JERZY OLKIEWICZ

## WYSTAWA UPIORÓW I NADZIEI

**A**TERAZ, panowie, malujcie na dziwno! Takie hasło mogli dać organizatorzy Ogólnopolskiej Wystawy Młodej Plastyki. Mottem wystawy było: „Przeciw wojnie, przeciw faszyzmowi”. Niestety, wystawa nie jest przeciw wojnie. To jest wystawa o wojnie, o koszmach, o rozkładających się trupach, o zgniliznie, o chorobach. Ideologicz-na wymowa wystawy jest zniekształcona i osłabiona przez bierne stwierdzenie okropności wojny. To trochę za mało. Jak wojnie przeciwdziałać, jakie siły przeciwstawić? — to wydaje się istotniejszym problemem. Tego wystawa nie pokazuje.

Zresztą na tej wystawie nie tylko o wojnie mówi się w sposób budzący dreszcz wstępu i przerażenia. Prosty zwykły akt — apoteoza piękna, ludzkiego ciała — tu ma swoją twarz, seledynowy brzuch topielca i upiornie ultramarynowe posładki Dzieci — to jakies zdegenerowane potworki. Portrety o fioletowych twarzach tepo patrzą przed siebie niewidzącymi oczyma. Staruchy rechoczą, wykrzywiając bezżelne twarze. Jakies sine zwłoki pływają po morzu pełnym lepkich wodorostów. Martwa natura — to olbrzymi gnati: piszczałki wybielony słońcem. Nawet kompozycja przedstawiająca rozpowszechnianie książek, na której ponurzy faceci kupują książki u ponurej sprzedawczyni, spowita jest jakimś fosforyzującym, grobowym światłem. Młodzi malarze rozmakowali się w okronościach: na ciało ludzkie patrzą jak na padlinę, na człowieka — jak na chore zwierze. Bardzo wiele ich prac nie mówi wcale o wojnie — staje się jakąś antologią koszmaru, nie związana z żadną ideologią; kilnicznym studium obchwy i okropności. To jest brzydota dla samej brzydoty.

Walczymy o nową, bojową, konstruktywną sztukę, która byłaby syntezą nowej formy z nową treścią — nie o wyrażenie niezdrowych instynktów, w których mogą gustować zbrojńcy czy snoby.

Prace na wystawie można by z grubsza podzielić na trzy zasadnicze grupy. Pierwsza — usiłująca nową formą wyrazić postępowe treści: grupa najmniej liczna, najbardziej eksperymentująca, najbardziej twórcza. Druga — apoteozująca bezideowy koszmarny, udziwiająca swoje obrazy „dla sportu”. Trzecia — grupa obrazów kulturalnych, ładnie malowanych, nie rzedko drobnych, ale nie mających pretensji do nowatorstwa: prace te ogląda się z przyjemnością, ale bez tego zachwytu, jaki wywołuje — mniej może kulturalny, roblony mniej na pewniaka — zdro-

wy, ciekawy eksperyment. Prace nie wchodzące do tych trzech grup stanowią odsetek wystawy bardziej obojętnej; nie mają solidności obrazów „kulturalnych”, ani okropności obrazów „koszmarnych”.

Ogółem biorąc, na całej wystawie zaciążyła przede wszystkim sztuka meksykańska. Mniej jest tu wprawdzie jałowych naśladownictw jak na wystawie konkursowej. Pokazane obrazy są bardziej własne. Niemniej w dalszym ciągu trudno odmówić sobie przyjemności szukania starych znajomych (surrealistów, Matisse'a, Pignona) — ale to nie jest na pewno wadą wystawy. Malarz, chcąc zrobić coś nowego, musi wyjść z dotychczasowych osiągnięć, które uważa za najwybitniejsze. Ileż to sam Picasso napatrzył się na cudze obrazy. Umieć przetworzyć i rozwinąć cudze doświadczenia, to jedna z tajemnic sztuki. Naśladowanie nie jest tajemnicą.

Pierwsza grupa najciekawszych obrazów operuje różnorodną formą. „Apel Wiedeński” Kozakiewicza jest ciekawą kompozycją wykorzystującą pewne elementy późnego kubizmu. „Don Kichot” i „Gołębie” Jonscherówny, grubo malowane, o pięknej fakturze, dość ascetyczne i ciężkie w kolorze — przy pewnej dekoracyjności stanowią kontynuację pejzażu z ostatniej Wystawy Okręgowej. Gierowski pokazuje dużą martwą naturę i portret — obie prace wykazują sympatię i znajomość współczesnego francuskiego malarstwa. Hałas, młody malarz z Wrocławia, wystawia ładny portret Gleb dał jednego ze swoich kogutów (bez piór), wzbogaconego o symboliczne, wykrzywione, rechoczące twarze. Pejzaże Lebensteina i Ostrowskiego są dobrym przykładem naszego młodego malarstwa plenerowego.

Trudno wszystkim wyliczać i zaszeregować pod jakąś wspólną etykietkę. Wystawa jest zbyt różnorodna i posiada wiele odcieni. Zdecydowanym jednak królem malarzy cierpiących na niezdrową koszmarnosc (nie daleka zresztą pornografii) jest Tchórzewski: jego chore potworki mogą budzić tylko wstręt. Jedynym określeniem na dużą kompozycję Celnikiera jest też: nieudany malarski koszmarny, brudny i przynębiający. Niemal wszystkie kilkupostaciowe kompozycje, które miały być ambitną próbą społecznego malarstwa, próba inspirowana sztuką włoską i meksykańską, spotykały się z niepowodzeniem. Tylko te, które budzą niekiedy grozę, nie potrafią tej grozy zmobilizować i skierować do jakiegoś konstruktywnego ideowego celu. Wstręt widza, wstręt fizyczny, to za mało.

Może to uczucie sprawia, że oglądając prace „kulturalne” odnosi się nieco ulgi. Martwe natury Panasa, Dembowskiej-Tarasin, prace Madeyskich, Żywickiego, Nowickiego nabierają smaku tzw. dobrego malarstwa w porównaniu z jakąś okropną babą Jasińskiego czy odpoczynek Damasiewiczza, przypominającym raczej sen wieczny. Często ideowe czy literackie zamierzenie tych obrazów zostaje pograżone plastycznym wydziwianiem i odtwarzaniem tego, co po wystawie meksykańskiej wydaje się mocne, bezkompromisowe, okrutne.

Trudno o tej wystawie sformułować sąd w jednym zdaniu. Jest różnorodna, ale posiada pewien niemal wspólny mianownik uwarunkowany sądem jurorów, którzy chyba tylko na odrzutkę przydzielili kontyngent prac odrębnych (na wet znalazł się jakiś zagubiony batalistyczny obraz z odległej o dwa lata epoki polskiego malarstwa — Potrzebowski; patrzy się na niego jak na cudem zachowany unikat).

Jest ciekawa — w odróżnieniu od dotychczasowych wystaw, bo wymaga zajęcia pewnego stanowiska. Jej zaletą jest to, że nie pozostawia widza w obojętności.

Jest wystawą młodych, ale za mało na niej optymizmu; młodzi malarze są zbyt posepni — to jedyna z istotnych wad. Jest frapująca, bo jest na niej dużo prac, co do których sformułowanie sądu staje się dla piszącego problemem: np. „Kocie góry” Mazurkiewiczza, to mimo pewnej secesyjności ciekawy i dość oryginalny obraz, a pstrokata kompozycja Kupczyńskiego też ma jakiś ładunek świeżości.

Jest dziwna, a zarazem zrozumiała, bo malarze silą się za wszelką cenę wyrwać z konwencji, która dotychczas panowała. Odskok od naturalizmu, odskok od poprawności; skutek — sporo obrazów naciąganych, niechlujnych, kokieterijnie niegrzecznych; sporo takich, które mimo że drażnią, są autentyczne, sporo własnego widzenia wyciągnięte go — z mrocznej nierz — piwnicy; dużo szlachetnej ambicji.

Jest dobra, bo pokazuje prawdziwy wysiłek młodzieży i jej pierwsze zwycięstwa — zwycięstwo nad akademizmem, zwycięstwo nad konwenansem, zwycięstwo nad banałem. Jest pierwszym krokiem w nową stronę i zapowiada, że dalsze kroki będą owocniejsze.

Ta wystawa, mimo swych wad i swojej częściowej upiorności, jest bezsprzecznie wystawą malarstwa, a nie referatów i oleodruków.

Jerzy Olkiewicz



Jadwiga Wojciechowska-Madeyska  
Portret rzeźbiarki



Izaak Celnikier: Ghetto



S. Gierowski: Martwa natura